

30945/86

1939 R.

Nr. 177

Styczeń

WYPI NAOKOŁO ŚWIATA



C E N A

Zł. 1.50

4549 II
/ 1939



Znana aktorka Tobisu Heti Finkensteller jest świetną łyżwiarką. Fot. Polski Tobis

Z DZIEDZINY KOSMETYKI

Odbiegnę dziś nieco od właściwego tematu, by podzielić się z Czytelniczkami miłą nowiną.

Jak paniom z pewnością wiadomo, moda obecnie lansuje loki: loki z tyłu, loki z przodu, loki po bokach głowy. Uczesanie takie, choć ładne i bardzo efektowne, jest jednak niemniej kłopotliwe i nietrwałe, gdyż na deszczu, śniegu i silnym wietrze loki rozkręcają się i często, zanim dojdzie się od fryzjera do domu, głowa przedstawia już opłakany wygląd.

To też z prawdziwym zadowoleniem, spieszę podać do wiadomości Czytelniczek, że znana wytwórnia kosmetyczna „PERFECTION” w Warszawie, chcąc nam przyjść w tych kłopotach z pomocą wypuściła na rynek specjalny aparacik do zwijania loków pod nazwą „Zakrętka do włosów Perfection”, który odznacza się wielką prostotą konstrukcji i działa automatycznie. Wystarczy kilka ruchów ręką, ażeby ułożyć włosy w piękne loki, przylegające ściśle do głowy i mające wygląd loków naturalnych. Loki zwinięte za pomocą zakrętki PERFECTION, utrzymują się przez kilka dni bez względu na warunki atmosferyczne, wilgoć i t. d.

Szez gołańcie Paniom zamieszkałym na prowincji, gdzie trudno jest o dobrego fryzera, polecam zakrętkę PERFECTION.

Biorąc pod uwagę wszystkie wymienione zalety zakrętek PERFECTION, jak i to, że przy użyciu jej nie można włosów ani zniszczyć, ani spalić, gdyż nie wymaga ona żadnych płynów, nagrzewania, prądu i t. d. oraz bardzo przystępną cenę zakrętki, jak i jej trwałe wykonanie z nierdzewnego metalu w estetycznym bakelitowym opakowaniu, winniśmy wdzięczność firmie PERFECTION za okazaną pomoc.

M-me Ercedes

T R E Ś Ć N U M E R U

<i>Leon Ryzyszczewski</i> — Ramoty narciarskie	4
<i>E. Szermentowski</i> — Bzik kinowy	11
<i>Almar</i> — 80-letni jubileusz Selmy Langerlöf	17
<i>Mario Parodi</i> — Po amerykańsku	22
<i>Michał Godlewski</i> — Vespertiliolog	27
<i>Erskine Caldwell</i> — Pogłoski	33
<i>Wojciech Walczak</i> — W kraju naszego północnego sąsiada	41
<i>Z. Dall</i> — 11.523 km. bez lądowania	48
<i>Jacqueline Marenis</i> — Niedokończona pieśń miłości	51
<i>Inteligentny Pikuś</i>	66
<i>Maria Zwaryczowska</i> — Swego nie znacie — cudze widzicie	68
Rozrywki umysłowe	78

Rysunki — *M. Ciąglińskiej i M. Szczesniewskiej*

Na okładce — *Hans Albers i Herma Relin* w Sensacyjnym filmie Tobla „Sierżant Berry”
Fot. „Polski Tobis”.

Cennik ogłoszeń: $\frac{1}{1}$ strona zł 800.—, $\frac{1}{2}$ str. zł 450.—, $\frac{1}{4}$ str. zł 250.—,
 $\frac{1}{8}$ str. zł 150.—, $\frac{1}{16}$ str. zł 100.—.
za wiersz milimetrowy jednoszpaltowy lub jego miejsce zł 2.50.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Zgoda 12, tel. 5-22-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15

Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką

zł 3.50 — za granicą zł 6.50.

Zeszyt pojedynczy 1.50 zł.

*Rękopisów i fotografii nie zamówionych Redakcja nie przechowuje
i nie zwraca.*

Redaktor BRONISŁAW BRENERT. T-WO WYD. „DROGA” sp. z o. o.

Druk. Wacław Zajączkowski, Chłodna 37, tel. 669-46.

4549
X-12678
4549/1939 II

NAOKOŁO ŚWIATA

Nr 177

ROK 1939

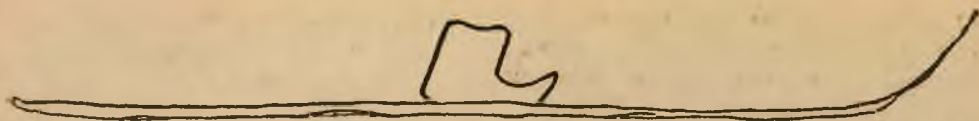


Anny Ondra w filmie „Romans na śniegu” fot. Polski Tobis

A black and white photograph capturing a serene winter scene in a mountainous region. In the foreground, two individuals are perched on a light-colored, rocky outcrop. The person on the left is dressed in a dark, heavy coat and a wide-brimmed hat, leaning slightly forward. The person on the right wears a dark coat and a hat, holding a long, thin walking stick. They are both gazing out over a vast, snow-covered landscape. The middle ground is dominated by a dense forest of evergreen trees, their branches heavily laden with snow, creating a textured, white canopy. Beyond the forest, the terrain rises into more rugged, snow-covered mountain peaks. The sky above is filled with soft, white clouds, adding to the wintry atmosphere. The overall composition emphasizes the scale and beauty of the natural environment.

RAMOTY NARCIARSKIE

Finlandię i północną Rosję. W Rosji europejskiej przed zmianą reżymu narty były w użyciu prawie jedynie tylko u zawodowych myśliwych kilku północnych gubernii, jak również wojskowo w t. zw. myśliwskich komendach. Dopiero w ostatnich czasach w Rosji sowieckiej widzimy początki narciarstwa sportowego, jednakże pojętego przeważnie jako dopełnienie przysposobienia wojskowego. W krajach Finskiej Skandii natomiast użycie nart sięga daleko wstecz do mglistych początków prahistorii. Zwłaszcza i przede wszystkim dotyczy to Norwegii, którą całkiem słusznie możemy uważać za ojczyznę i kolebkę narciarstwa. Opisy sagi i najdawniejsze podania świadczą wyraźnie o uży-



Typ nart lapońskich

ciu nart w początkach dziejów tego kraju, zaś poszukiwania archeologiczne ostatnich lat uwiecznione zostały znalezieniem w torfowiskach nieźle zachowanych nart, które zdaniem znawców służyły w czasach przedhistorycznych. Bez przesady możemy zatem stwierdzić, że w Norwegii narciarstwo ma za sobą ponad tysiącletnią przeszłość. Mimo to mylnie byłoby przypuszczenie, że w Norwegii narciarstwo sportowe ma początki daleko wcześniejsze od narodzin narciarstwa sportowego w krajach zachodnio - europejskich. Istotnie początków narciarstwa sportowego możemy się dopatrzeć w Norwegii też nie wcześniej, jak w latach 80-ych zeszłego stulecia. Wtenczas to kilku młodych ludzi, pełnych zapалу, jak Fridjof Nansen¹⁾, Fritz Huitfeldt i paru innych zaczęli nawoływać do wykorzystania dawnej umiejętności narodowej jako możliwej i zdrowej rozrywki sportowej dla tysięcy młodych pracowników umysłowych. Rozwinęli oni też energiczną propagandę zawodów i popisów narciarskich, zwłaszcza skoków. Rewelacyjnie i przełomowo wpłynęło na dalszy rozwój narciarstwa sportowego ukazanie się na pierwszych zawodach narciarzy z dystryktu Telemarken, którzy podówczas brali prawie wszystkie premie w skokach i w biegach terenowych. Wtenczas dopiero widzom otwarły

się oczy na możliwości i estetykę zupełnego i sprawnego opanowania nart w rozmaitych i niespodzianych trudnościach terenowych. Narodził się w ten sposób początek dzisiejszego stylu, polegający na stałym opanowaniu nart bez użycia jednego grubego kija jako koniecznej podpory. Również ustalił się, przejęty od narciarzy z Telemarken, ich dawny typ nart, który utrzymał się jako typ uniwersalny narty terenowej czyli turystycznej, jak się to dziś nazywa. Dziś jeszcze ten uniwersalny typ narty, który posłużył jako wzór wszystkim wyrobom średnio - europejskim, nazywają w Norwegii: Telemark ski.

Przed początkiem sportu narciarskiego posługiwano się w Norwegii nartami od wieków, jednakże wyłącznie tylko w celach praktycznych: myśliwstwa, pracy zawodowej, komunikacji, ćwiczeń wojskowych itp. Odpowiednio do tych celów i znacznych na obszarze kraju różnic terenu i klimatu używano w Norwegii nart rozmaitego typu i wyglądu.

Jako jeden z takich odrębnych typów, który po dziś dzień pozostaje warunkiem bytu koczowniczego szczeplu, należy wymienić narty lapońskie. Lapończycy zajmują się prawie wyłącznie hodowlą reniferów i włączają się za swymi stadami po górach północnego pogranicza między Norwacją a Szwecją i po tundrach płaskowyżyn najdalej na północny wschód wysuniętego dystryktu Finmarken. Łatwo zrozumieć, że dla koczowników tych stref północnych, gdzie zima trwa 6 do 8 miesięcy i którzy całe życie spędza-

¹⁾ Podjęte i przeprowadzone przez młodego Nansena w r. 1888/9 przejście na nartach przez lodowce wpoprzek Grenlandii było pierwszym wielkim wyczynem sportowym na nartach.

ją w ustawicznych wędrówkach za swoim dobytkiem, reniferami, odpowiedni typ nart stanowi kwestię życiową. Narty te w całej swojej znacznej długości — ponad 2,5 m. — mają linie boczne proste i równoległe, wierzeh zaokrąglony, wyjąwszy płasko ściętą podstawę pod stopę, nosy o długim i wysokim zagłębieniu, końce zadnie również zaostrome i nieznacznie zagiełe. Spód płaski, bez napięcia pod stopą, wyżłobiony w całej długości, tworzy jakby sklepienie, z pozostawieniem wąskiego kantu po brzegach. Jako wiązanie służy rzemień poprzeczny i 2 długie rzemienie surowcowe. Wyrabiają te narty z twardej brzozy górskiej północy. Cała ta, tak odmienna od znanego nam uniwersalnego typu telemark, konstrukcja nart odpowiada specjalnym warunkom terenowym i klimatycznym tamtejszych okolic. Jak już powiedziano powyżej, Laponczycy włączają się za swoimi renami po fjellach i tundrach północy, gdzie granica skąpego zadrzewienia opada do jakich 600 m. nad poziom morza. Na bezkresnych tych płaskowyżach o pagórkowatym uwypukleniu śnieg lży przeważnie twardy i zbity, często wiatrami zbity w fale schodki. W czasie długiego przedwiośnia, wskutek nasilenia działalności promieni słonecznych, tworzy mocną skorupę. Tak więc narty lapońskie przedstawiają wyspecjalizowany typ nart szreniowych, w przeciwieństwie do nart typu Telemark, które, mimo swego uniwersalnego zastosowania, są wybitnie nartami sypkiego śniegu o większej zwrotności i służą do jazdy po zalesionych stokach podgórza. Miękkie i dość luźne wiązanie narty lapońskiej tłumaczy się dostatecznie obuwiem, używanym przez Laponczyków. Są to mokasyne ze skóry goleniowej renifera, zszyte włosem na zewnątrz w ostry, zadarty, nosek. Obuwie to, wypchane jakimś tamtejszym ga-

tunkiem trawy, nieczym nie zeszywnione i bez twardej podeszwy, jest wprawdzie bardzo ciepłe, ale zupełnie nie nadaje się do jakiegokolwiek sztywnego wiązania. Oczywiście, że przy tak luźnym związku między nartą i stopą Laponczycy nie mogą wykonywać nagłych zwrotów ani ostrych łuków. Braki te jednak, znikome zresztą w ich terenie, równoważy ich wielka biegłość, wyrobiona stałym ćwiczeniem. Używając jednego, grubego i okutego kija, potrafią zahamować dość nagle. Strome stoki zjeżdżają zygawką, przerzucając narty z błyskawiczną szybkością. Jeżdżąc w towarzystwie Laponczyków i stojąc sam na doskonałych nartach terenowych, mimo ułatwionej techniki zjazdowej, jaką mi dawały sztywne więzby, rzadko mogłem minąć narciarzy lapońskich.

Ażeby raz jeszcze streścić charakterystykę nart szreniowych, powtarzam, że różnią się one od uniwersalnych nart terenowych znaczną długością, równoległością linii bocznych i ostrym kantem, osiągniętym przez równomierne, szerokie, wyżłobienie spodu.

Typowym, lecz nieco odmiennym, przykładem nart szreniowych były używane ongiś w norweskim dystrykcie österdalen t. zw. fjellski. Odznaczały się one przede wszystkim tym, że były nierównej długości. Lewa narta, znacznie węższa od lapońskiej, miała przynajmniej 3,5 m. długości, prawa, o metr krótsza, często bywała w całej długości obciągnięta skórą foki lub losia. Podstawa pod stopą była dość gruba i silnie napięta, spód szeroko wyżłobiony z pozostawieniem wąskiego kantu szreniowego. Narciarz przy zjazdach stał na lewej narcie, prawej zaś używał do hamowania i do zwrotów. Więzby tych nart były tego samego prymitywnego rodzaju co u Laponczyków. Nosy tych nart były stopniowo i lekko podgięte.

zadnie końce płaskie i zaokrąglone. Posługiwali się tymi nartami w dawnych czasach zawodowi myśliwi chłopcy, którzy wtedy zimą zwykli byli polować we fjellach na dzikie renifery, na niedźwiedzie i na wilki. Dziś polowań zimowych na renifery zabrania ustawa łowiecka, w górach Osterdalen nie ma już śladu dawnych ogromnych stad reniferów, a niedźwiedzie i wilki należą do wspomnień przeszłości. Ciekawy ten typ nart, jak i wiele innych typów regionalnych, wyszedł z użytku i ustąpił uniwersalnemu typowi Telemark, który się dziś spotyka prawie na całym obszarze Norwegii. Przetrwały jedynie narty lapońskie u koczujących Lapończyków.

Dla ciekawości dodam, że z początku obecnego stulecia grupa sportowców zajęła się wskrzesze-

niem nart szreniowych. Mogę o tym mówić z doświadczenia, gdyż sam, mieszkając podówczas w Norwegii, posiadałem i wypróbowałem takie narty. W konstrukcji tych nart wzorowano się na nartach z Osterdalen. Oczywiście, obie narty były równej długości, co najmniej 3,5 m. Dla oszczędności materiału i otrzymania jak najlżejszej wagi użyto wyborowego twardego drzewa hikory. Narty były wąskie o prostych i równoległych bocznych liniach, wierzchołki lekko oheblowane, spód szeroko wyżłobiony z pozostawieniem wąskiego i ostrego kantu szreniowego, silne napięcie pod stopą, nosy długie, stopniowo zagięte i giętke, zakończenie tylne zaokrąglone. Więźby używano wtenczas ogólnie modelu Huitfeldta z szyną i ściągaczem. Dzięki tej sztywnej więźbie nawet na tak długich nartach można było

W Norwegii od najmłodszych lat uprawia się narciarstwo



wykonywać zwroty i opory. Narty takie miały wielką nośność, a na długich, łagodnych, zjazdach dawały ogromną szybkość, nie rzucając na łałach i schodkach. Do nart tych na szreni wiosennej używaliśmy także żagli. Mały żagiel około 3-metrowej powierzchni, podobny do modelu lyżwiarskiego, przy odpowiednim wietrze daje nie tylko wielki pęd po równym, ale nawet niesie narciarza skłosem pod górę. Rozumie się, że takie narty nadają się tylko w specjalnych warunkach norweskich fjellow, startych lodowcami w rozległe płaskowyżyny z mnóstwem jezior i bagien jako śniegiem pokryte płaszczyny i o licznych obłych wzniesieniach. W terenie alpejskim lub tatrzańskim nie można by manewrować takimi nartami, można by je natomiast zastosować z pożytkiem w narciarstwie nizinnym na terenie Wileńszczyzny i tamtejszego pojezierza.

O narciarstwie szwedzkim nie mogę mówić z własnego doświadczenia, ponieważ nigdy tam zimą dłużej nie bywałem. Najlepsze tereny narciarskie znajdują się tam na północy, wzdłuż norweskiej granicy. W każdym razie można powiedzieć o Szwecji, że, równie jak w Norwegii, narciarstwo jako takie nie ma tam historycznego początku. Warto jednak wspomnieć, że narodowa próba wytrzymałości w Szwecji, t. zw. „Vasalöp”, to bieg na przestrzeni 100 km. podczas kiedy długodystansowy bieg norweski, Holmenkollöp, rozgrywa się na przestrzeni 50 km. Szwedzki Vasalöp jest pamiątką historycznego wyczynu szlachcica Gustawa Wazy, proteplasty dynastii Wazów, który w r. 1520, po krwawej represji króla duńskiego, Krystiana II, kiedy na rynku w Sztokholmie padło pod toporem 80 głów szlacheckich stronników Gustawa Trolle, wymknął się nocą na nartach z Sztokholmu i przechwywszy w przeciągu nocy oko-

ło stu kilometry odległość, podjął bitnych chłopów prowincji Dalarna i obaliwszy za ich pomocą panowanie Duńczyków, został obrany królem jako Gustaw I. O ile jednak chodzi o narciarstwo sportowe w dzisiejszym rozumieniu, to rozwinęło się ono w Szwecji później aniżeli w Norwegii.

Również i Finlandia jest niezawodnie krajem o dawnych tradycjach narciarskich. Jednakże początki narciarstwa sportowego były tam jeszcze późniejsze niż w Szwecji, późniejsze nawet niż w ogólności w Europie środkowej. Zdarzyło mi się zwiedzić Finlandię w r. 1912 w marcu, kiedy tam panowała śnieżna i ostra zima. Miałem ze sobą norweskie narty terenowe. Obejrzawszy Wiborg i porohy Imatry, osiadłem na parę tygodni w małym miasteczku Sordavala nad północnym brzegiem Ładogi. Okolice tam pagórkowata i przy grubym pokładzie śniegu doskonale nadawała się do użycia nart. Mieszkańców miasteczka Sordavala widywałem jednak wyłącznie tylko na zaśniężonym lodzie Ładogi, gdzie za pomocą dwóch kijów, ubrani w długie paloty i kalosze śniegowe, uprawiali biegi płaskie, ścigając się nawet czasem, nigdy jednak nie ryzykując zjazdu. Używali długich, wąskich, pięknie wypolerowanych nart, które jako jedyną więźbę miały szeroki ramię poprzeczny, pod który wsuwało się czubek stopy. Oczywiście, nie można było opanować nart, nadzianych w ten sposób, chyba tylko suwać nimi po równym, lub zjechać prosto po łagodnym stoku. Ze Sordavala wyjechałem na wschód do Ieśniczówki w ogromne lasy rządowe nad karelską granicą. Polowałem tam na rysie przez jakiś tydzień. Dalo mi to sposobność zetknięcia się z leśnikami i myśliwymi tamtejszych okolic, gdyż towarzyszyli mi oni w długich, całodziennych wyprawach. Używali oni



Piękny strój narciarski aktorki „Tobisu” Heli Finkenzeller Fot. Polski Tobis

nart domowego wyrobu, znacznie k. aszych i szerszych od miejskich, dobrze zastosowanych do stromych i gęsto zalesionych stoków mocno pociętego łamtejszego terenu, pagórkowatego na granitowym podłożu. Więźby tych nart były rzemienne, podobne do lapońskich, a więc dość luźne. To też po równym, a nawet pod górę, biegli bardzo szybko za pomocą dwóch kijów, przy zjazdach jednak lepsze moje narty i sztywne więźby dawały mi wyraźną przewagę. Bardzo byłem ciekaw poznać tych ludzi, gdyż w starszym roczniku „Jägaren”, łowieckiego pisma szwedzkiego, czytałem o życiu i wyczynach myśliwych pogranicza karelskiego. Autorem tego opisu był Erik H. Backman. Otóż właśnie tego pana, zarządzającego lasami rządowymi tych stron poznałem w leśniczówce w Uonais. On to, nie mając sam czasu, urządził moją wyprawę i wysłał mnie do gajowego, mieszkającego wśród lasów. W artykule swoim opisuje Backman twarde życie zawodowych myśliwych, którzy, polując głównie zimą, stale posługiwali się nartami. Niestęhanym, wręcz trudnym do uwierzenia, wyczynem ich, było łapanie żywcem rysiów na zamówienie ogrodów zoologicznych. Robili oni to w ten sposób, że podczas zimy, gdy przy ostrym mrozie spadł gruby pokład sypkiego śniegu, wypatrywali świeży trop rysia i spłoszywszy zwierza, ścigali go na nartach póki nie ustał. Artykuł Backmana zawiera barwne opisy tych epicznych łowów, jak nieraz zrozpaczony zwierz podrapał i pokąsał swoich prześladowców, zanim udało im się ubez władnić go. Najbardziej odznaczył się w tych gonitwach niejaki Heikki Auvinen. Niestety nie mogłem dostatecznie porozumieć się z tymi ludźmi, którzy tylko ojczystym swoim fińskim językiem władali i nie rozumieli szwedzkiego. Pośredniczył między nami

robotnik leśny, który na robotach w Rosji trochę się rosyjskiego nauczył. Z tego środowiska leśników i myśliwych wyszli fińscy zawodnicy, którzy okazali się tak groźnymi przeciwnikami w narciarskich biegach długodystansowych, bijąc kilkakrotnie nawet Norwegów w ich własnym terenie. Charakterystyczną dla zawodników fińskich jest ich nadzwyczajna sprawność i nasilenie pracy ramion i kijów. Zawodnik fiński biegnie jakby na czterech nogach. W przebiegu norweskim, zawierającym prócz zjazdów długie przestrzenie terenu równego i podejścia, Norweg góruje w szybkości i technice zjazdu, ale na równym i w podejściu Finlandczyk bije każdego Norwega.

W Rosji centralnej a zwłaszcza pomocnej uprawiano oczywiście narciarstwo od dawien dawna. Zajmowali się tym jednak niemal wyłącznie zawodowi myśliwi włościańscy. Brak terenów wysokogórskich nie zezwalał na wyrobienie większej sprawności. Nie mogąc zresztą mówić o tym z doświadczenia. To co widziałem, rosyjskie narty, były niezgrabne, domorośle, wyroby, nie nadające się do sportowego użytku.

Na konkursach międzynarodowych górują jeszcze wybitnie narciarze Fino-Skandii, t. j. Norwegowie, Szwedzi i Finlandczycy, przy czym w skokach i kombinacji norweskiej pierwsze miejsca z reguły obsadzają Norwegowie. Nieraz słyszy się zdanie, że zawodnicy średnio-europejscy nie mogą mierzyć się ze skandynawskimi, dlatego, że tym ostatnim warunki klimatyczne pozwalają na dłuższe i staranniej-
sze przygotowanie. Mnie opinia taka wydaje się mylną. W ostatnich latach warunki klimatyczne krajów skandynawskich uległy pewnej zmianie. Zwłaszcza w Norwegii zimy ostatnio bywały fatalne dla narciarzy, przez długie miesiące prawie bezśnieżne. Zresztą nawet nor-

malna zima tamtejsza tyle że trwa dłużej, mianowicie jeszcze przez marzec i kwiecień, przy czym ten okres przedwiośnia już nie wchodzi w rachubę dla przygotowania konkursowego. Ogólnie więc nasze wysokogórskie ośrodki treningowe co do czasu roboty nie ustępują norweskim. Trzeba zatem szukać innych przyczyn niezaprzeczalnej wyższości narciarzy norweskich. Pierwsza to odziedziczona przez pokolenia zdolność narciarska, druga: ćwiczenie od najmłodszych lat, zwłaszcza w skokach, trzecia: zajęcie zawodowe wielu narciarzy, które bez specjalnego przygotowania rozwija wytrzymałość, czwarta: ogromna popularność sportu narciarskiego, ujętego w liczne kluby regionalne, tak iż aranżerowie mogą przebierać wśród tłumu kandydatów, – ostatnia i najważniejsza: intensywność, wszechstronność i

karność treningu. Każdemu, który kiedykolwiek brał udział lub kierował treningiem sportowym, wiadomo, że nie wystarcza jako przygotowanie programowe wykonanie szeregu ćwiczeń, ale że konieczną jest poza tym celowa i odpowiednia dieta, zegarkowa regularność godzin pracy, spoczynku, pokarmu i snu, a wreszcie zupełna wstrzemięźliwość od wszelkich napojów wysokowych i podniet wraz z żołnierską karnością względem kierownika treningowego. W Norwegii poszczególne grupy treningowe żyją gdzieś wśród lasów lub gór, daleko od ludzi i wciąż pod okiem trenera. U nas takie obozy treningowe pracują nieraz w rojnych centrach sportowych, pośród nieodłącznych od takich miejscowości pokus i rozrywek. Mimo to forma naszych czołowych zawodników zoliża się już do formy Norwegów i nieraz czyta-

Ekipa narciarzy z żaglami przy zjeździe



rozwoju nart. Rozróżniamy dzisiaj 2, nieco odmienne, rodzaje nart.

1. Narta terenowa czyli turystyczna. Jest to narta, jak powiedziałem w opisie nart norweskich, typu Telemark, przeznaczona do użycia w luźnym śniegu. Temu celowi odpowiada jej zasadnicza budowa. Długość jej przy normalnym wzroście wynosi około 2,30 m. Linie boczne są krzywe i zbiegają się ku środkowi, mianowicie największa szerokość w zagięciu nosa powinna wynosić 10 cm, w środku pod stopą 7,6 cm, w tylnym końcu 8,5—9 cm. Grubość narty w przednim zagięciu 7—9 mm, w środku 3—3,5 cm, w tylnym końcu 9 mm. Napięcie pod stopą co najmniej 2 cm. Spód narty jest równo wygładzony i dla lepszego prowadzenia zaopatrzony środkowym rowkiem o półkolistym przekroju. Wierzch dawniej także był równy. Przy użyciu twardego i ciężkiego drzewa — hikory — można dla ujęcia wagi wierzch, przed i za stopą, aheblować po bokach.

W ostatnich czasach widać u nas tendencję zwięzania i skracania nart. Pochodzi to zdaje się od zapatrzenia narciarzy na lekkie narty biegowe i mylnego mniemania, że im się uda w ten sposób zwiększyć swoją szybkość i sprawność. Wszelkie odstępstwo od zasadniczej konstrukcji osłabia nartę i odbiera jej główną zaletę nośności w luźnym śniegu.

2. Narta biegowa, używana przez zawodników do biegów dystansowych w terenie, to narta turystyczna o wymiarach zmniejszanych dla ulżenia wagi. Będzie zatem nieco krótsza i cieńsza, przede wszystkim zaś znacznie węższa. Ażeby jednak zaradzić niebezpieczeństwu złamania, powinno się do wyrobu takich nart użyć materiału najwyższego gatunku twardego drzewa. W praktyce okazał się jak dotąd najodpowiedniejszym orzech amerykański w spodzie,

— hikory. Kiedy kilkanaście lat temu prasie norweskiej.

Niech mi w końcu wolno będzie powiedzieć parę słów o obecnym u nas już takim uznaniu w sportowej nartciarze fińscy zaczęli zwyciężać w Norwegii na długich dystansach, spróbowano tam naśladować ich narty, wyrabiane z brzozy górskiej. W praktyce jednak te narty, choć nieco lżejsze od hikorowych, nie okazały żadnej wyższości, a były mniej trwałe. Obecnie zapoczątkowano w Norwegii wyrób nart biegowych, spajanych z dwóch gatunków drzewa, na podobnych zasadach jak niektóre klasowe przyrządy sportu (luki angielskie, rakiety tenisowe) wykonuje się z różnych, spojenych gatunków drzewa. Narty te mają nadbudowę z drzewa świerkowego i cienki spód z hikory. Udało się przez to zmniejszyć wagę i zwiększyć odporność. Więźby nart biegowych muszą być nadzwyczaj szczelne i sztywne i, polegają przeważnie na przyskrzynięciu podeszwy buta. Wszystkie te właściwości narty biegowej sprawiają, że można ją wykorzystać wyłącznie tylko na dobrze przetartym śladzie, t. j. na twardej powierzchni. Zgubnym pomysłem byłoby zatem chcieć użyć takich nart do jazdy terenowej własnym śladem i na sypkim śniegu. Ani narty tego rodzaju, ani więźby nie są przeznaczone do takiego użytku.

3. Narty skokowe to narty turystyczne o wymiarach wzmocnionych. Powinny więc być nieco dłuższe, w każdym razie zaś znacznie grubsze i silnie napięte pod stopą. Materiał drzewny winien być twardy i absolutnie bez skazy, — najlepiej hikory. Więźby muszą być specjalnie solidne, aby wytrzymać szok lądowania. Nie zaleca się jednak do nart skokowych więźb przyskrzyniających podeszwy. Dla ściślejszego prowadzenia narty skokowe mają zwykle 3 albo 4 rowki wyżłobione

W zawodach narciarskich, tak międzynarodowych jak krajowych, wprowadzono ostatnio jako osobną konkurencję alpejskie biegi zjazdowe. Anglicy, którzy te biegi najbardziej faworyzują i prawie nigdy nie występują w innych zawodach, używają do biegów zjazdowych specjalnych nart, raczej ciężkich i solidnych, słusznie rozumując, że w szusach ciężka narta da większą szybkość od lekkiej. Nie sądzę, żeby potrzeba było specjalnych nart dla biegu zjazdowego. Solidne narty terenowe powinny zupełnie wystarczyć. Uważam jednak, że najbardziej ryzykownym i najmniej odpowiednim wyborem byłoby użycie do biegu zjazdowego cienkich i lekkich nart biegowych. Typ ten został wykombinowany w Norwegii zgodnie z zapotrzebowaniem dla lokalnych warunków tamtejszych biegów dystansowych w zalesionym terenie podgórskim. Liczne, kręte,

zjazdy zamieniają się tam wciąż ze spurtami w płaszczyźnie (jeziora i bagna) i podejściami na strome skoki. Dla ułatwienia i usprawnienia tych spurtów płaskich i podejściowych wymaga się lekkich nart, które zarazem ułatwiają zwroty i ewolucje zjazdowe. W biegu wysokogórskim czysto zjazdowym, nieprzetartym, gdy decyduje przede wszystkim szybkość szusów, lekkie i delikatne narty biegowe nie dają prawie żadnych korzyści, zaś na trudnych, karkołomnych, odcinkach, jakie tak bieg zwykle zawiera, niebezpieczeństwo połamania delikatnych desek i uszkodzeń cielesnych wzrasta ogromnie. Moim zdaniem zatem każdy zawodnik powinien posiadać co najmniej 3 pary nart: solidne narty turystyczne, lekkie narty biegowe i ciężkie narty skokowe.

LEON RZYSZCZEWSKI

„Skrzydlaty” narciarz





B Z I K K I N O W Y

Tęgo człowieka, można powiedzieć, zgubiło kino.

Ogromnieśmy go wszyscy zawsze lubili za jego indywidualny punkt widzenia na życie. Zdaniem Stasia Cyranka największą sztuką jest — sztuka życia. W szkole, pamiętam, dowodził, że najeikawsze było życie w średniowieczu.

Jedyny okres, w którym mężczyzna był naprawdę interesujący, to Cinquecento. Rycerskość, duma, szlachetność, męstwo... Znajdźmy dziś takich mężczyzn! Ludzie wtedy potrafili żyć! Potrafili być zajmujący! Mogli podobać się kobietom! No nie?!

Kiedyśmy przechodzili historię nowożytną, zmienił trochę zdanie i z uwielbieniem mówił o epoce Ludwika XIV. Ale nie tylko historia wpływała na światopogląd Cyranka. Więcej jeszcze bodaj na kształtującą się latorośl domu Cyranków wpłynęło kino. Staś był namiętym

wielbicielem filmów. Przejmował się filmami okropnie. W kinie wzdychał, trząpał mnie po kolanach, a nawet kłął brzydko, kiedy bohatera spotykały nieprzewidziane przeszkody. „Trzej muszkietierowie“ wywarli na niego wyjątkowe wrażenie. Opuścił kino z wypiekami na twarzy. Na Nowym Świecie mówię do niego:

— Słuchaj, Stasiu, nie zapomnij jutro przysłać mi ściągaczkę z trygonometrii.

On spojrzał na mnie dzikim wzrokiem i powiada:

— Coś rzekł, nieszczęsny szczekaczu! Przenigdy na ten frymark nie zezwoli!

— Co ty pleciesz, u licha!

— Tak, dostoyny panie! Wolejbyh żywot swój psom na pożarcie rzucił, niżbym na niesławę zarobił!

Mówiąc to, zmarszczył się groźnie i ponuro.

Zbaraniałem.

I tak się wtedy to szaleństwo zaczęło...

Po paru latach niebytności w kraju, dowiadując się, że Cyranek wstąpił w związki małżeńskie. Niezwłocznie udałem się do niego z wizytą.

Pani była prześliczna, z ładnym pieprzykiem na lewym policzku, zgrabna, miła. Ze Stasiem uściskaliśmy się serdecznie. Uderzyła mnie ogromna zmiana w jego wyglądzie. Przede wszystkim — zapuścił wąsiki. Takie dwa wąskie, czarne sznurczki pod nosem. Głowa wypomadowana. Ubrany, no! jak ostatni hrabia.

Cyranek uśmiechał się trochę głupkowato i zacierał ręce. W pewnej chwili spojrzał na zegarek i wstał.

— Nie gniewaj się, kochanku, ale muszę iść. Zaza zabawi cię, póki nie wrócę.

Checiałem się również zegnać, ale oboje zatrzymali mnie gorąco. Ależ to nie ma sensu, musi pan zostać na kolacji... Taki stary przyjaciel. I t.d. Zostałem.

Po wyjściu Stasia zaległa cisza. I nagle pani Zaza wybuchnęła płaczem.

— Co pani? Co się stało?!

— Ja już dłużej nie mogę!... Przecież pan jest przyjacielem Stacha... Muszę panu wyznać wszystko...

To mówiąc, złożyła ufnie głowę na moim ramieniu. — No, myślę sobie, ładna historia, mąż wyszedł, a tu żona rozpacza na mojej kamizelce.

— Czy pan wie, że Stach jest nienormalny?

— Nienormalny! Co też pani mówi!

— On jest po prostu zboczony.

— Co też pani wygaduje?!

Pani Zaza, łkając na mej piersi, ciągnęła.

— Wyszłam za niego z miłości. Podobał mi się, bo był inny, niż

wszyscy mężczyźni. Taki rycerski, zupełnie, jak jaki bard średniowieczny. I przede wszystkim nie nosił tych swoich idiotycznych wąsików. Już w tydzień po ślubie dostrzegłam w nim jakąś zmianę. Zapuścił wtedy hiszpańską bródkę i zaczął mnie teroryzować.

— Przepraszam! Jaki jest związek między hiszpańską bródką i teroryzowaniem pani!

— Ogromny. Zaraz się pan dowie... Pewnego wieczoru wpadł do mnie ze szpicrutą w dłoni i zaczął wykrzykiwać jakieś dziwne słowa, których nie rozumiałam. Pewno po hiszpańsku... Kazał mi skakać na tapezan. Sam wskoczył na biurko, ucepił się żyrandolą, skakał, krzyczał i robił okropne miny. Naza jutrz zamiast po ludzku zejść ze schodów, zjechał po poręczy jak jakiś smarkacz. Robił sztuki z krzesłem, rzucał widelcem w bieliźniarkę, fikał kozły. Zupełnie jak Douglas Fairbanks w filmie! Boże, doktor filozofii zachowywał się jak trzecioklasista! Już zaczęłam się do niego przyzwyczajać, kiedy znowu się po jakimś czasie odmienił. Zmienił się odtąd w takim tempie, że nigdy nie wiadomo było, jaki wróci wieczorem... I pomyśleć, że wszystkiemu winno kino!

— Kino?! — Przypomniałem sobie dziwną wrażliwość Cyranka z czasów szkolnych.

— Kino to jego przekleństwo. Hajszysz! On jest strasznie wrażliwy i zaraz się wszystkim przejmuję. Raz staje się Gostą Eckmannem i wtedy jest niemożliwie perwersyjny. To znów przeobraża się w Wallace Bery i wtedy jest okropny cham. Innym razem zapuszcza sobie baczki i jest milczący. Wtedy już wiem na pewno, że przejął się grą Clive Brooka. Tego tylko jeszcze brakowało, żeby się teraz stylizował na Chaplina! Mój mąż cyrkowcem! Tego bym już nie przeżyła!

Zaległa cisza. Z kamizelki mojej

sączyły się brylantowe lzy nieszczęśliwej kobiety.

— Teraz przechodzi okres donżuanerii. Wyimaginował sobie, że idealny typ mężczyzny to Adolf Menjou...

Staś wrócił do domu w takim stanie, że oboje podnieśliśmy się zmieszani i przerażeni. Pani Zaza krzyknęła cicho, jak raniona antylopa.

— Boże, gdzieś ty się tak osmyczył!

Cyranek miał głowę ogoloną zerem do skóry. Wąsików ani śladu. Na twarzy jego osiadł po'worny grymas, brwi podniesione do góry, jak u mongola... Zrozumiałem! Staś wracał prosto z filmu „Burza

nad Azją“. I oto stał przed nami wspaniały typ dzikiego Azjaty...

Trzeba go było obezwładnić, gdyż momentalnie zaczął demolować meble. Zatelefonowałem po pogotowie. Przybył doktor i postawił diagnozę.

— Dementia psychopatica cinematica...

Pani Zaza spojrzała na niego pytająco.

— Co to znaczy, doktorze?

— Nowa choroba: bzik kinowy.

Losiem Cyranka zajął się dom zdrowia.

Co zaś dotyczy pani Zazy, sam się nią zająłem...

E. SZERMENTOWSKI

ilustracje M. Szczesńewskiej





Selma Lagerlöf w swojej pracowni

80-letni jubileusz Selmy Lagerlöf

Zaledwie kilka miesięcy upłynęło od chwili kiedy naród szwedzki obchodził 80-ciolecie urodzin swego króla. Jeszcze nie przebrzmiały echa entuzjastycznych okrzyków kiedy znowu święci osiemdziesiątą rocznicę inny świetny jubilat.

I tym razem uroczystości obchodzone są ku uczeniu książecznej osoby, władczyni królestwa „sagi” Selmy Lagerlöf.

Osiem dziesiątków przeszło od chwili kiedy w Morbacka, w Östra Färterik w krainie Värmlandu w

Ogólny widok Morbacka nad jeziorem Löven





Selma Lagerlöf w swojej bibliotece

20 listopada r. 1858, ujrzała światło dzienne Selma Elżbieta Lagerlöf.

Rodzice jej byli właścicielami majątku ziemskiego Morbacka i Selma wzrastała w beztroskim dzieciństwie w kulturalnym i pięknym otoczeniu.

Morbacka — rodzinne gniazdo Selmy Lagerlöf, leży na piaszczystych wydmach krainy Värmland, w środkowej Szwecji. Szary mglisty krajobraz północny, poszarpane dunami piasków brzegi nie zachęcają do zapuszczania się w głąb kraju. Jezioro Löven okrąża wysepki... czyż nie brzmią w powietrzu echa pieśni „kawalerów“? czyż nie słysząc szmeru „brzoźki w blasku słońca“? Dziki, tajemniczy, czaro-



Fragment urządzenia mieszkania w Morbacka; mapa Szwecji obok kominka

dziejski w swej niedostępności krajobraz, gdzie wiedli awanturniczy żywot kawalerowie pod wodzą Gösty Berling w domu Majorowej. W dali Gurlitta, gdzie niedźwiedź-duch straszy i można go tylko ubić srebrną kulą. Tam znów Broby — w cieniu drzew, pierwsze miejsce spotkania Majorowej z Göstą.

Morbacka przeszła w ręce obce i największą troską Selmy Lagerlöf było odzyskanie rodzinnego gniaz-

da. I kiedy poraz pierwszy w roku 1900 imię jej rozbłysło sławą, Morbacka powróciła do prawego właściciela i stała się odtąd miejscem stałego pobytu wielkiej pisarki. Nie nęciły jej zaszczyty świata, którymi ją zasypywano — zamknęła się w swej „pustelni“, w ciszy i odosobnieniu i żyła tylko począ i pielęgnowała kwiaty.

Selma Lagerlöf ukończyła Seminarium nauczycielskie i przez 10

Dom rodzinny Selmy Lagerlöf w Morbacka w Szwecji





Selma Lagerlöf znajduje wytchnienie przy fortepianie...

lat uczyła dziewczynki w Stockholmie. Mieszkała w skromnym pokoiku na Kungsgatan w starej szkole Gjörlofa i tam urodził się pierwszy zarys Gösty Berling. „Sagę” drukowano potem w piśmie kobiecym „Idun”.

W pracowni swojej w Morbacka spędza słynna pisarka większą część dnia nad biurkiem, zatopiona w twórczej pracy. Z okien rozłącza się rozległy widok na dunny i ogrody, ściany pełne półek z książkami. Olbrzymie imponujące biurko, zarzucone stosami papierów, mała maszyna do pisania obok olbrzymiego gęsiego pióra, którym Selma pisała swoją sagę o Göście Berling. Gruba świeca w srebrnym świeczniku i precudne kwiaty w olbrzymiej wazie — — — Tutaj spłynęły spod jej pióra najpiękniejsze postaci z jej arcydzieł, urodzone z marzenia i fantazji, a tak bardzo tętniące życiem...

Selma Lagerlöf swym epokowym

dziełem „Gösta Berling” wysunęła się na czoło pisarzy całego świata. Dotychczas wydrukowano 2.900.000 egzemplarzy tego dzieła w języku szwedzkim, a niezliczoną ilość we wszystkich językach świata. W r. 1900 została honorowym obywatelem krainy Värmland i Uppsali, co jak na kobietę, było już ogromnym odznaczeniem. Następnie sygnęła się na nią zaszczyty. W r. 1909 nagroda Nobla za „szlachetny idealizm, bogactwo fantazji i pełne duszy opisy”. Potem złoty medal zasługi Szwedzkiej Akademii Umiejętności, honorowy doktorat filozofii na uniwersytecie w Uppsali, wreszcie najwyższe odznaczenie — nominacja na członka Szwedzkiej Akademii Literatury. Jest ona pierwszą i jedyną kobietą, która zasiada w tym świetnym gronie De Adertona.

Z całego świata płyną do wielkiej pisarki listy. Oddzielny pokój w Morbacka przeznaczony jest na tę korespondencję i z wielką dumą



wym. Cały kraj, z królem na czele, złożył sędziwej jubilatce życzenia, a z nimi cały świat.

Uroczystości minęły... i wszystko wróciło do normalnego życia. Selma Lagerlöf zamknęła się w swej pustelni w Morbacka, w otoczeniu legend i pieśni, które jej szepcą uroczne historie... i znowu tworzy nowe „sagi“.

ALMAR

Selma Lagerlöf sama na wszystkie listy odpowiada. Pismo ma czytelne równe, kobiece...

Zmęczona pracą przy biurku Selma Lagerlöf szuka wytchnienia w muzyce. Pokój muzyczny, to hała tańców kawalerów Majorowej... gdzie skrzypki hucznie przygrywały i odbywały się swawolne tany... Poetka grywa smętne melodie skandynawskich z ballad północnych.

W twórczej swej pracy Selma jest niezmordowana. Ósmi krzyżyk osłabił może jej siły fizyczne, duch jednak pozostał nadal młody. Tajemniczo uśmiecha się gdy się mówi o jej dziełach...

Karawany turystów ściągają do Morbacka. Wszyscy chcą ujrzeć „Panią tego zakątka“. Selma Lagerlöf jest jednak niewidoczna dla nikogo i tylko nieliczni mogą poszczycić się chwilką rozmowy lub jej znajomością. Jedynie dzieci, które kocha nade wszystko, mają do niej dostęp i ich wesoły szczebiot potrafi oderwać ją od biurka i dla nich nawet zostawia pracę.

Uroczystości jej 80-cio lecia stały się dla Szwecji świętem narodo-



TRAN LECZNICZY

jest naturalną odżywką, która doprowadza do ustroju nie tylko witaminy i cały szereg innych pożytecznych składników leczniczo - odżywczych, lecz również uodparnia organizm przeciw chorobom zakaźnym. Dzieci i dorośli powinni codziennie przyjmować Tran Leczniczy, który krzepi i wzmacnia siły organizmu. Tran Leczniczy stanowi bowiem bogate źródło witamin A i D.



NORWESKI
T R A N
L E C Z N I C Z Y

słynny jest na całym świecie dla swej wysokiej wartości.



PO AMERYKAŃSKU

— Za Waltera nie wyjdiesz, bo to jest człowiek zdalny do niczego i nie zdolny zarobić ani centa!

— Nieprawda! — odpowiedziała Lizetta zirytowanemu ojcu.

Domenico Nassi, urodzony w Caserta, od trzydziestu lat zamieszkały w New Yorku dorobił się znacznej fortuny dzięki szalonej pracy. Nie mógł wprowadzić nazwać się milionerem, lecz restauracja - bar była zawsze źródłem zarobku pewnego i obfitego. Żona pilnowała kuchni, on zaś siedział w kasie; żaden cent więc nie wymknął się jego oczom wściekłego buldoga. Wieczorem z jakimś wąziakiem zadowoleniem liczył dolary, które nazajutrz odnosił do banku.

Lizetta urodziła się tutaj. Wyrosła jak kwiat, trochę żywsza niż dziewczęta z Caserty, trochę powolniejsza niż te z New Yorku. A teraz ten przeklęty Walter Prad, który chce ją zabrać z domu!

— Chce pan poślubić moją córkę?

— Tak.

— Dobrze. A ma pan zdrowie?

— Tak.

— A pieniążki?

— To ma mój ojciec. — I zaśmiał się.

— Kiedy je będzie miał pan — dam mu moją córkę. Lizetta, wyjdź!

Dziewczyna ścisnęła dłoń Waltera, mówiąc mu:

— Zarób trochę pieniędzy, Walterze. To przecież tak łatwo...

— Poczekaj, aż ci to sam Walter powie, że to jest łatwo — przerwał Domenico i sam zaśmiał się z kolei.

Na młodzieńca ten uśmiech podziałał, jak uderzenie biczem. Naciągnął kapelusz na oczy.

— Pokaże wam, że potrafię zarobić w przeciągu tygodnia tyle, ile pan zarabia przez dwa miesiące.

— A ja wtedy dam panu moją córkę.

— Zgoda. Dwaj gentelmani, nie-
prawdaż, panie Nassi?

Lizetta płakała, gdyż wiedziała,
że jej Walter, niezwykczony w gol-
fie, potrafi tylko wydawać pienią-
dze swego ojca.

Przez kilka dni rodzina Nassi nie
nie wiedziała o młodzieńcu. Dome-
nico już był pewny, że się pozbył
tego „zdatnego do niczego” chłopca.
Potem Lizetta otrzymała bilecik z
Ottawy. „Cokolwiek się stanie —
ufaj twemu Walterowi”. Zadzwo-
niła do jego przyjaciela Jacka, aby
się dowiedzieć, co jej narzeczony
może robić w Kanadzie. Jack odpo-
wiedział: „Nie nie wiemy. Pożyczył
od nas wszystkich, ile się dało i
znikł. Ja sam zaangażowałem się aż
na dwieście dolarów. Przyjaźń
przyjaźnią, ale...”

Lizetta wróciła do baru, przera-
żona myślą, że Walter zabrał się
do przemytu alkoholu. Ojciec pod-
sunął jej przed oczy gazetę. „Ott-
wa. Aresztowanie syna znanego

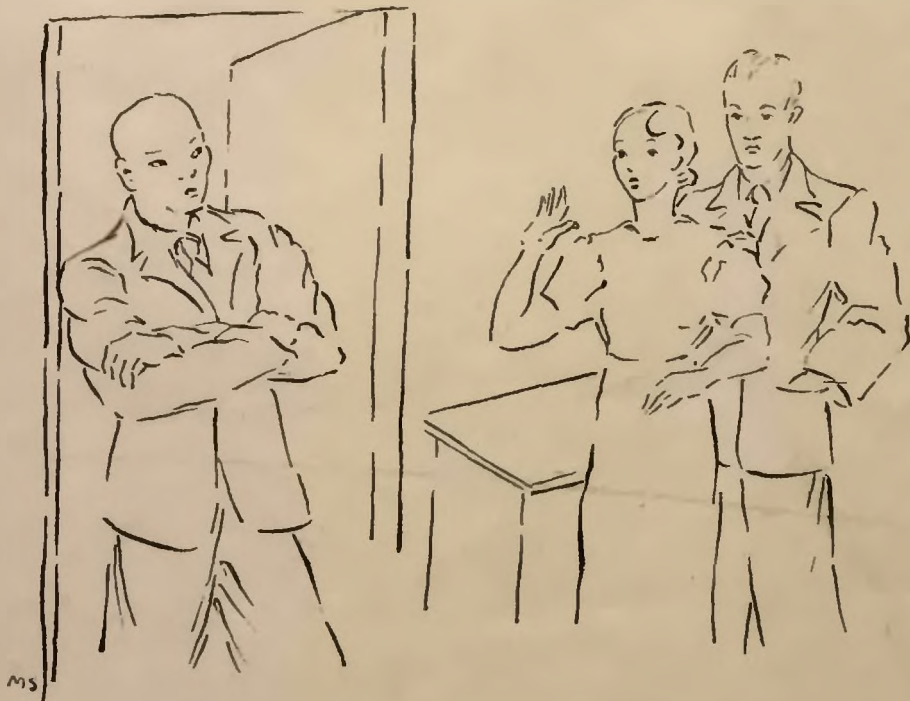
new-yorskiego bogacza p. Waltera
Prada, oskarżonego o oszustwo
przez znanego jubilera p. Samuela
Cohena”. Lizetta zamknęła się w
swoim pokoju aby płakać. Przepla-
kała cały tydzień. Przeplakałaby
całe życie, gdyby nie to, że siódme-
go dnia na progu restauracji uka-
zał się Walter, wesół, szczęśliwy,
z rękoma w kieszeniach.

— Panie Nassi, wygrałem zakład!

Domenico przeszył go wzrokiem.
Podbiegł do szuflady i wyciągnął
dziennik z wiadomością o areszto-
waniu i podsunął mu go pod nos.
Młody człowiek przeczytał bez
zmrużenia powiek. Z kolei wyciąg-
nął gazetę i rzekł:

— A teraz kolej na pana!

Domenico przeczytał: „Ottawa.
W następstwie dalszych wyjaśnień,
p. Walter Prad, oskarżony o oszu-
stwo, został zwolniony z aresztu.
Jako rekompensatę za straty moral-
ne p. Samuel Cohen wypłaca mu
kwotę dziesięciu tysięcy dolarów”.



— Co to ma wszystko znaczyć — zawołał zdumiony Domenico.

Opowiedz Walterze, opowiedz — krzyknęła Lizetta, rzucając mu się na szyję.

Młody człowiek powiedział.

— Wyprosiłem u mego skąpego ojca i mojej chojnej matki tyle pieniędzy ile się dało. Później zwróciłem się do mych przyjaciół o pożyczkę. Dokonałem na nich prawdziwego rabunku. Udałem się do Ottawy, gdzie wszystko złożyłem w banku, i wynająłem mieszkanie w pierwszorzędnym hotelu. Przy końcu każdego tygodnia regularnie załatwiałem moje rachunki. Ubiegłej soboty około czwartej poszedłem na ulicę, gdzie się mieszczą sklepy jubilerskie. Wszedłem do najbar-

dziej luksusowego, właśnie p. Samuela Cohena i wziąłem dla Lizetty naszyjnik z pereł.

— Świetny pomysł! — zawołała, przerywając mu, dziewczyna.

— Zapytałem: Ile? „Dziesięć tysięcy dolarów“. Wyciągam czek. „Oto są“. Twarz pana Cohena się wydłużyła. „Wie pan... naprawdę... banki dziś są zamknięte...“ I nie wiem co ma zrobić... Ja jednak nie ustępuję. Dzwonią wreszcie do mego hotelu. „Czy znany jest taki a taki?“ Sprawdzili, że nie jestem osobą podejrzaną i że regularnie płaciłem moje rachunki. Jubiler poka-pigulkę i polecając się Bogu, wręcza mi naszyjnik. Ja zaś wychodzę i idę naprzeciwko do jubilera, który ma sklep z diamentami.





Szanowny pon Cohen odprowadza mnie aż do drzwi. Pytam się właściciela sklepu: „Za ten naszyjnik można dać siedem tysięcy dolarów?” „Z zamkniętymi oczyma”. „Oddam go panu za pięć tysięcy”. Jubiler bierze naszyjnik i wypłaca mi pieniądze. Wskakuję do auta (bo wynająłem sobie auto) i pędzę. Cohen rzuca się do sklepu naprzeciwko. „Kupił u mnie naszyjnik za dziesięć tysięcy na czek a sprzedał go panu za gotówkę. Czek więc jest bez pokrycia! Niena wątpliwości! Oszustwo! Gdzie jest telefon? Policja! Policja! Aresztować go! Złodziej!” I rzeczywiście dościga mnie na progu najelegantszego hotelu w Ottawie i wobec publiczności złożonej z samych milionerów, zostaje aresztowany za oszustwo”.

Walter zatrzymał się na chwilę, smakując efekt swego opowiadania.

Wszyscy patrzyli na niego jak za hipnotyzowani.

— No a potem? — zapytała Lizetta.

— Potem? Potem było tak. W poniedziałek pan Cohen, dla zaspokojenia ciekawości, posyła czek do realizacji. Śmieszna operacja, mówi, bo wie, że czek jest bez pokrycia i że ja jestem złodziejem. Tymczasem w banku rozgrywa się kapitalna scena, jak w teatrze. Dolary są. Są, autentyczne, sympatyczne, zdrowiutkie. I zostają natychmiast wypłacone. Cohen o mało nie dostaje apopleksji. Pędzi do więzienia autem. „Omyłka! Niewybaczalna omyłka! Prędko, zwolnijcie go!” I jestem wolny. Przepraszania? Owszem, nadmiar. Uściski dłoni, ofiarowanie cygar... Ale ja mówię: „Co się dotyczy cygar — to dobrze, biorę jedno. Co zaś do reszty, to



pan zapłaci mi, oskarżonemu o oszustwo [we wszystkich dziennikach Ameryki — dwadzieścia tysięcy odszkodowania z tytułu strat moralnych. Dwadzieścia tysięcy i ani jednego mniej. Straty moralne i materialne. I sprostowania w dziennikach również na pana rachunek". Mister Samuel Cohen, jako dobry Irlandczyk nie chciał ustąpić. Musiał jednak to uczynić pod nacis-

kiem sędziego, który oświadczył, że każdy obywatel ma prawo kupienia za dziesięć a sprzedania za pięć tysięcy każdego przedmiotu, jeżeli mu się tak będzie podobało. I przyznał mi dziesięć tysięcy odszkodowania. I oto jestem tu.

I wyciągnął z kieszeni paczkę banknotów, przewiązanych rzemiennym sznureczkiem.

Domenico, błady, spojrzał na dolary, a potem na swą córkę. Potem oblizawszy językiem wargi, rzekł:

— Słuchaj, młodzieńcze, czy chcesz być moim współnikiem?

— Nie. Zadowolnię się tytułem pańskiego zięcia.

I mówiąc to, ujął pod ramię Lizette.

MARIO PARODI

Tłum. Helena Bychowska

Ilustracje M. Szczesniewskiej

SKŁAD PAPIERU

MATERJAŁÓW PIŚMIENNYCH I RYSUNKOWYCH
KSIĄG BUCHALTERYJNYCH I GALANTERJI
WIELKI WYBÓR PIÓR WIECZNYCH

DOSTAWY DO BIUR

I WSZELKIE ROBOTY DRUKARSKIE

POLECA

STEFAN MOCARSKI i S-ka

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością

WARSZAWA, ORDYNACKA 13. drugi dom od Nowego-Światu
TELEFON 220-90 KONTO P. K. O. Nr. 640



VESPERTILOLOG

Memu, kawiarnianemu sąsiadowi, wyglądającemu na profesora, spadła ze stolika gruba i stara książka. Podniosłem ją i przeczytawszy sobie tytuł, położyłem obok niego ze słowami.

— De vespertilio... to znaczy o nietoperzu.

Staruszek uśmiechnął się i zapisał.

— Pan zna łacinę?

— Łaciny wcale nie znam, bardziej interesują mnie nietoperze. Paplałem na poczekaniu, przypominając sobie, kiedy goszcząc w Krzymoszach zwierzak taki narobił mi kłopotu, harcując w sypialni, skąd nie dał się wygonić.

Ciekawy jegomość ożywił się. Wiedocznie nietoperz był jego konikiem albo jak kto woli, przedmiotem studiów. Znajomość została nawiązana.

— To najbardziej zagadkowe stworzenie, odczuwał się wreszcie, prowadząc nad nim badania, kontynuując dzieło Spallanzaniego.

— Tego co stworzył rodowód mikrobom? — przerwałem.

— Tak, tego samego. Czy słyszał pan o jego doświadczeniu z nietoperzami, potwierdzające teorię, iż mają one szósty zmysł?

— Niestety nie, ale słucham chętnie.

— Spallanzani powykłówał oczy nietoperzom, a następnie wypuścił je w dużej komnacie, w której zwieszało się, przyczepionych do sufitu, na nitkach paręset metalowych dzwoneczków. Te dzwoneczki były tak czułe, że zadzwoniłyby, przy lada muśnięciu, o nitkę skrzydła nietoperzowego. Niech pan sobie wyobrazi, że oślepienie nietoperze latały w tym pokoju kilka godzin i ani razu, żaden z nich nie zaczepił o nitki, ani o dzwonek.

— Krwiożercze, ale i zadziwiające doświadczenie.

— Dowodzi to, iż nietoperze mają jakiś dziwny instynkt, którego pozazdrościłby im nie jeden pilot, latający po nocach. Doświadczenie Spallanzaniego poszło w niepamięć,

jak i wiele innych, po jego śmierci w 1799 roku i dopiero ja podjąłem je na nowo.

— A czy badania pana profesora idą tylko w kierunku tego szóstego zmysłu? — przemówił moimi ustami nie tyle dziennikarz, ale człowiek, interesujący się lotnictwem i jego podstawą — szybownictwem.

— O nie. Marzę również o wnoskach, zaczerpniętych z badań lotu nietoperzy, dla lotnictwa. Dotychczas za profesora lotu planowego, uważany był bocian. Potrafi on długo szybować w przestworzach, bez poruszania skrzydłami. Nietoperz potrafi to nawet lepiej, a poza tym ewolucje jego w powietrzu, zwrotne i błyskawiczne, zastosowane do wojskowości, przyniosłyby wielkie korzyści dla pilotów myśliwskich. Każdy nietoperz to urodzony Pégoud, czy Immelman.

Podane, w końcu zdania, przez profesora nazwiska wynalazcy martwego węzła i akrobacji dla uniknięcia wybuchu szrapnela niezwykle mi zaimponowały. Również podobało mi się, że profesor pracuje nad problemami, dotyczącymi obrony państwa. Patrzyłem na niego z podziwem.

Rezultat zapoczątkowania naszej rozmowy był taki, że zaprzyjaźniłem się z vespertiliologiem, a że o nim ani słówka nie dałem do gazet, zdobyłem też jego zaufanie. Parokrotnie jeszcze spotkałem się z nim w kawiarni, słuchając



jego ciekawych opowiadań o rasach, zwyczajach i pochodzeniu nietoperza. Był on zdania, że nietoperz jest zdegenerowanym potomkiem ocalałego z potopu, jego pra-pra-praszczeria pterodaktyla. Ten przedpotopowy, skórzano - skrzydły zwierz posiadał parumetrowy spiczasty dziób, w nim zęby, a przy skrzydłach, rozpiętości tuzina metrów, ostre pazury, służące mu do drapania wrogów, podczas walki, oraz do poobiedniej drzemki, lbem na dół, po wczepieniu się w jakiś przedhistoryczny skrzyp.

Pterodaktyl, jak widać z opisu był potężnie uzbrojony, a skrzydła dopomogły mu, podczas potopu do ocalenia. Dziobaty i uzębiony praniecier przysiadł sobie gdzieś na wystającej ponad wody potopu skale i flegmatycznie przeczekał powódź. Z punktu widzenia biblijnego sprawa pterodaktyla przedstawia się skomplikowanie. Noc napewno bałby się złapać i zapakować do arki samca pterodaktyla i pterodaktylową. A zresztą pytanie, czy pterodaktyl dałby się wogóle złapać Noemu. Najprawdopodobniej złowiłby go nie starozakonny patriarcha, ale ptako-gad schwyciłby Noego, po uprzednim zadziobaniu go, o ile nie schrupaniu i to à la fourchette.

Po pewnym czasie stało się wreszcie to na co oczekiwałem z niecier-





pliwością, profesor zaprosił mnie listownie do siebie. Ciekawy byłem jego mieszkania i pracowni, ale to co zaraz na wstępie ujrzałem przeszło moje oczekiwania.

Drzwi otworzyła mi prześliczna panna, jak się potem dowiedziałem, córka vespertitiologa, która wprowadziła mnie do gabinetu profesora. Gabinet był ciemny i wionął tajemniczością, połączoną z przytłaczającą ponurością. Profesora jeszcze nie było, to też skwapliwie rozglądałem się po gabinecie, chodząc wzdłuż ścian, na których po za niezwykle zdjęciami nietoperzy w locie i profilami rysunkowymi ich skrzydeł nic innego nie było. Fotografic nietoperzy były nadzwyczajne. Przedstawiały one wszystkie fazy lotu tych ssaków od wypuszczenia z ręki do wzorowego hamowania. Najciekawszym było to, że nietoperz wypuszczony z ręki nie wysiła się, by podfrunąć w górę, lecz nastawiwszy skrzydła w literę V opada szybko w dół, nabierając tym samym szybkości niezbędnej do rozwinięcia lotu, bez potrzeby pracy własnej, wykorzystując sprytnie szybkość nabytą podczas spadania.

Gdy oglądałem inne momenty lotu nietoperzy, fotografowanych w sposób dotychczas nie znany, nawet przez zawodowych fotografów, usłyszałem poza mną lekkie skrobanie na podłodze. Obejrzałem się i... coś mnie ścisnęło za gardło, a ręka prawa powędrowała błyskawicznie do kieszeni rewolwerowej po Colta z którym nie rozstawałem się od

czasu służby w partyzanckim oddziale Majora Jaworskiego, w czasie wojny i powstania na Górnym Śląsku.

Strzelać jednak nie potrzebowałem, gdyż dziwotwór nie zdradzał wobec mnie agresywnych zamiarów. Był to wampir! Prawdziwy wampir, co do którego istnienia miałem dotychczas poważne wątpliwości. Nie był to wielki potwór, ale dostatecznie wstrętny. Ciągając skrzydłami po podłodze przyglądał mi się złośliwie.

Instynktowny ruch samoobrony, w postaci sięgnięcia po rewolwer, ustąpił miejsca ruchowi... dziennikarskiemu, po aparat fotograficzny. W parę sekund wampirka miałem już na filmie. Krwio pijca nie speszzył się widokiem moim zupełnie i poczłapał o metr dalej, gdzie w pobliżu fotela stała miseczka napełniona krwią. Wampirek gapił się na mnie nieufnie, zanurzając język i to jaki!.. w czerwonym płynie. Jeszcze dziś ciarki mnie przebiegają na myśl, że tym samym językiem mógł się on dobrać do mej szyi issać moją krew. Potworek żłopał krew, wciąż podejrzliwie na mnie zezując, a następnie nasyciwszy się i mlasnąwszy





jęzorem ruszył, czolgając się skąd wyszedł pod kanapę. Myślałbym, że to halucynacja, gdybym nie dołonał i drugiego zdjęcia, schowawszy następnie aparat do kieszeni.

Przez cały czas wizyty u profesora siedziałem jak na szpilkach, obawiając się, że w moją tydkę wpije się piekący pyszek wampira i stożkowaty język pocznie ze mnie toczyć krew. Przy pierwszej okazji wymówiłem się pracą w redakcji i czym prędzej pożegnałem badacza nietoperzy i hodowcę wampirów, z których dwa małe profesor koniecznie chciał bym na pożegnanie pogłaskać.

A żeby tak parę takich szelm wyrwało się na swobodę i zaczęło „odżywiać“, to dopiero byłaby sensacja — myślałem na odchodnym. A gdy kładłem się, tegoż dnia spać, mimó, iż był lipiec, nie tylko że na noc nie zostawiłem otwartego okna, ale szczelnie zamknąłem lufcik. A nuż taki gad zapamiętał mnie sobie i ma na mnie apetyt — zastanawiałem się z trwogą.

Nie jednak złego wampiry tej nocy, jak i następnych mi nie zrobiły. Widocznie vespertiliolog trzymał swoje potwory w całym tego słowa znaczeniu za mordę. Nie zachęciło mnie to jednak ani trochę do ponowienia swych odwiedzin u niego. Chociaż profesor był ciekawym typem, córka piękna, ale wampiry były wampirami i to najzupełniej

wystarczało bym omijał locum przez nie zamieszkały. W kawiarni jednak profesora spotykałem, interesując się w dalszym ciągu, ale tylko teoretycznie nietoperzami i ich odmianami. Od zaproszeń jego, jakoś się wymigiwałem i dobrze robiłem, gdyż profesor począł zdradzać objawy nienormalności.

Powiadomiła mnie o tym pierwsza, jego córka, która dowiedziała się przez redakcję o moim adresie. Wpadła ona do mnie kiedyś rankiem, koło południa, kiedy w najlepsze spałem.

— Proszę pana, tatuś ciągle sam przesiaduje i rozmawia z nietoperzami. Ja się ich boję... latają ciągle po mieszkaniu, a te większe... wampiry to tylko kłopot z nimi, bo nie innego nie chcą pić jak tylko świeżutką krew. A jak im nie dostarczam to na mnie syczą, a tatuś mówi jak się nie będę starała to mnie nimi poszczuje i krew będąssać ze mnie...

Reszta zdania utonęła w płaczu. Nie wiedziałem, jak mam się zachować.

Tu śliczna zapłakana panna, tam zbzikowany papa, a na dlszym planie perspektywa staczania walki z wampirami jak don Kichot z wiatrakami. W dodatku zanim bym kogoś przekonał, przy pomocy fotografii o tym, że w Warszawie istnieje hodowla wampirów, że trzeba przed nimi ratować córkę pół-wariata i do tego przystojną, to ten ktoś, wiedząc o tym, że jestem



członkiem towarzystwa „Trzeźwość“, od razu wprost skierowałby mnie do szpitala Jana Bożego.

W nawale codziennej pracy reporterskiej o tej historii zupełnie zapomniałem, zwłaszcza, że trafił mi się wyjazd za granicę. O wampirach i ich hodowcy przypomniałem sobie dopiero w pół roku później, przypadkiem będąc w gabinecie pewnego sędziego śledczego, który z przejęciem opowiadał o kilku zagadkowych zgonach kobiet i mężczyzn, z których ciał w niezbadany sposób usunięto, ale to co do kropli krwi. Trupy miały na szyjach małe, świeże blizny.

Nie innego, pomyślałem, jak tylko przychówek mego profesora wy dostał się na swobodę i wysysa krew. Ale nie mając ochoty pławania na świadka nie podzieliłem się z sędzią moimi wiadomościami w tej sprawie.

W tydzień po tej rozmowie, wywołało sensację w policji wojewódzkiej jak starszy posterunkowy Rybalkowski przyniósł do komendy zastrzelonego przez siebie „olbrzymiej wielkości nietoperz“, jak go opisano w protokole. W rezultacie śledztwa (energicznego) wytoczono dyrektorowi zwierzyńca proces o brak dozoru nad okazami będącymi pod jego pieczęcią i zarządem. Sąd jednak uznał jego wyjaśnie-



nia za wystarczające, gdyż wykaz żywego inwentarza i zeznania dozorców dowiodły, że takiego rodzaju zwierzęcia nigdy nie posiadano. Ale skąd, południowo - amerykański wampir, których kilkadziesiąt żyje jeszcze na Wyspie Wielkanocnej, dostał się do Warszawy, pozostało na długo tajemnicą.

Zakończenie całej tej sprawy odbyło się tragicznie. Wyfrunięcie wampirów z mieszkania profesora doprowadziło go do rozpacz i utraty resztek rozsądku. Ubrany w pelerynę, wyobrażał on sobie, że jest wampirem i w nocy usiłował, przez okno, zakraść się do mieszkania sąsiadki, by wysssać z niej krew.

Zmuszony krzykiem niedosłej ofiary do ucieczki potworny wariat wymknął się przez drugie okno i rozpoczął odwrót po gzymsie. Zauważył go tam, będący w służbowym obchodzie policjant i biorąc za złodzieja zastrzelił, po uprzedzeniu i strzale ostrzegawczym. Zastrzelony

Najciekawsze, że policja nie uleżała na chodniku na rozpostartej pelerynie z rozkrzyżowanymi rękami, przypominając naprawdę olbrzymiego jakiegoś ptaka.

Z mieszkania profesora, do którego pospieszyłem przed policją, udało mi się zabrać kilkanaście fotografii nietoperzy w locie.

MICHAŁ GODLEWSKI



Olga Czechowa w najnowszym filmie Tobisu p. t. „Dwie kobiety” Fot. Polski Tobis





POGŁOSKI

Mianowanie z wyboru Sama Billingsa skarbnikiem funduszków miejskich było zasługą George'a Williamsa. Kiedy George postawił jego kandydaturę na wyborczym zebraniu, podniósł się szmer zadowolonia i po raz pierwszy w dziejach Androskogginu zebranie powzięło jednogłośnie decyzję. Potem, aż do końca obrad, wszyscy wyrażali zdziwienie, że nikt dotychczas nie wpadł na tę myśl, by zaproponować Sama Billingsa.

Powierzenie Billingsowi funkcji skarbnika spotkało się też z ogólną aprobatą mieszkańców Androskogginu. Sam był człowiekiem obrotnym i uczciwym. Poza tym dziesiąta część wszystkich podatków miejskich przypadła na będący je-

go własnością hotel zdrojowy na wschodnim pobrzeżu jeziora Androskogginu i w letnim sezonie. Sam zatrudniał tam osiemdziesięciu albo i dziewięćdziesięciu mieszkańców miasta. Teraz stało się dla wszystkich niezrozumiałym, jak można było w ciągu dwudziestu lat tolerować na tym stanowisku najróżniejszych łotrów i szubrawców skoro już dawno można było powierzyć publiczne pieniądze Samowi Billingsowi; w jego rękach byłyby pewne i nienaruszone. Dotychczasowy skarbnik nie umiał zdać rachunku z osiemnastu tysięcy dolarów, wydanych z miejskich funduszków, a jego poprzednik tak zagmatwał księgi, że dla sporządzenia bilansu trzeba było na koszt

miasta sprowadzić buchaltera za dwieście dolarów.

Clyde Ballrad, jeden z członków samorządu miejskiego, po zebraniu wziął George'a na stronę. Clyde miał w mieście sklep różnych drobnych towarów.

— Wyświadczyłeś dziś miastu dużą przysługę, — zaczął Clyde. — Sam Billings to najwłaściwszy człowiek na to stanowisko. Trzeba było już dawno mianować go naszym skarbnikiem. Jak ci to przyszło do głowy, George, żeby go zapropionować?

— A oł, przyszło, — odparł George. — Sam Billings to jeden z moich koników. Jeśli znowu będzie nam potrzebny odpowiedni kandydat do samorządu, wypuszcę na tor jeszcze jednego.

— Powiedz, George, chyba nie najgorzej wywiązuje się ze swoich obowiązków, co? — zapytał Clyde z lękiem w głosie.

— Hm, — mruknął Williams, — nie mówię ani tak, ani nie. Jeszcze nie nie postanowiłem. Poczekam, zobaczę, czy miasto przeprowadzi jakąś znośną drogę do mojej farmy. Być może, że w tych dniach kupię samochód, wtedy już będą musieli zabrać się do ułożenia szosy, żebym mógł z mojej farmy przyjeżdżać do miasta.

Clyde ze współzuciem pokiwał głową. Słyszał już nieraz, że George zanudza wszystkich tą szosą i twierdzi, że samorząd miejski powinien wpłynąć na komisję drogową, by się tą sprawą zajęła. Pożegnał się z Williamsem i pojechał do domu.

Letni sezon kończył się w połowie września i zwykle kuracjusze rozjeżdżali się do New-Yorku czy Bostonu we wtorek lub środę po Dniu Pracy. Ale Sam Billings nie zamykał hotelu przed pierwszym październikiem, ponieważ sporo gości przyjeżdżało jeszcze na sobotę i niedzielę na golf. We wrześniu zabi-

jał deskami drzwi i okna hotelu i odpoczywał po pracy i kłopotach sezonu. Sporządzenie rachunków i wykazanie zysków trwało ze dwa albo i trzy tygodnie, bo nie mało grosza zgarniał Sam w ciągu lipca i sierpnia.

Tego roku, po raz pierwszy od dwudziestu czy trzydziestu lat, ani jeden obywatel Androskogginu nie miał powodu do niepokojenia się o miejskie fundusze i o skarbnika miejskiego. Sam Billings był ogólnie znany z uczciwości, a że przy tym odznaczał się wyjątkową skrupulatnością, nikt nie wątpił, że księgi rachunkowe będą należycie prowadzone. Wszystkie sumy, zebrane podatki, szły do rąk Sama. Odbiór pieniędzy był najskrupulatniej potwierdzany, a otrzymywane rachunki regulowało się natychmiast. Po prostu nie można było znaleźć żadnego powodu do jakichkolwiek zarzutów wobec nowego skarbnika.

Aż do pierwszego śniegu, który tego roku spadł w początkach stycznia i walił trzy dni z rzędu, nie było w mieście żadnych rozmów o nowym skarbniku. A już następnego dnia rozniosły się po mieście pogłoski, że Sam Billings wyjechał do Florydy.

Kiedy George Williams dowiedział się o tym, natychmiast pojechał do miasta. Zupełnie przypadkowo usłyszał, jak rozmawiano przez telefon o wyjeździe Billingsa do Florydy; gdyby nie to, George mógłby czekać cały tydzień, a może i dwa tygodnie, aż by ktoś przyjechał na jego farmę, by mu opowiedzieć o tym wypadku.

George siadł na konia i zajechał wprost przed sklep Clyde'a Ballard. W chwili, kiedy wchodził do sklepu, rozmawiano tam właśnie o Samie Billingsie.

George zdjął ciężką szubę i usiadł przy piecu, by ogrzać zziębnięte nogi.

— Słyszałeś już, George? — zwrócił się do niego Clyde.

— Jakżebym miał nie słyszeć. Przecież takiego łotra, jak Sam Billings, nie ma drugiego na świecie, — odrzekł George. — Prędzej bym się podjął pociągnąć za ogon wściekłego hyka, niż bym mu powierzył choćby pół dolara ze swoich pieniędzy.

— A przecież podobno ty najwięcej popierałeś Sama Billingsa, — odezwał się jeden z siedzących

przy piecu, — nie dobrze jest tak się wyrażać o swoim kandydacie, George.

Clyde zbliżył się do pieca, by ogrzać ręce i zapalić cygaro.

— Pamiętasz, George, — podjął Clyde, rzucając porozumiewawcze spojrzenie obecnym w sklepie, — kiedy rozmawiałem z tobą po zebraniu, powiedziałeś wtedy, że Sam Billings to twój konik. Czyś może miał na myśli jego ciemne sprawki?



Rozległ się szmer przyciszonych rozmów, ten i ów wstał z miejsca. Wszyscy oczekiwali odpowiedzi George'a.

— Byłbym wtedy głowę dał za to, że Sam jest uczciwym człowiekiem. — powiedział George z powagą w głosie. — Czyż bym mógł przypuszczać, że nagle urwie się i ucieknie do Florydy z publicznymi pieniędzmi w kieszeni? Przy następnych wyborach proponuję, żeby pieniądze z podatków miejskich przywiązywać do szyi mojej starej czarnej krowie. Nie mam już zaufania do dwunożnych bydła.

— Poczekaj, George, — powiedział Clyde, — nie wiesz jeszcze wszystkiego o Samie. Może chcesz się czegoś nowego dowiedzieć?

— Czy on jeszcze coś nabroił? — George wstał z ławki, żeby lepiej słyszeć.

— Zabrał z sobą Jenny Russel. Wiesz, starszą córkę Artura Russela. Pewnie nie najgorzej używa sobie na Florydzie za miejskie pieniądze i jeszcze z taką dziewczyną. Zdawało mi się, że i ja umiałbym wykorzystać życie, kiedy byłem młodszy, ale teraz widzę — skąd ja do Sama Billingsa!



George znów usiadł. Nałożył tytoniu do fajki i potnął zapalną.

— W takim razie uciekł nie sam, a z kobietą? Tak, tak. Tacy ludzie zawsze w ten sposób postępują, kiedy im się dostaną do rąk cudze pieniądze. To już tak jedno przy drugim: gdzie skradzione pieniądze, tam zawsze kobieta.

— Nie głupi z niego chłop, wiedział, kogo wybrać. — zauważył jeden z obecnych. — Niech mi kto pokaże drugą taką ślicznotkę, jak Jenny Russel. Jeśli Sam nie poirafi się z nią zabawić, to chyba powinien ustąpić z miejsca komuś młodszemu.

George pogardliwie chrząknął i zaciągnął się fajką. W swoim czasie i on także zalecał się do Jenny Russel.

— Słyszałem dzisiaj, że Sam ma zamiar podpalić swój hotel, żeby dostać premię asekuracyjną, — rzucił Clyde z za lady, wręczając klientowi kupiony towar. — Jeżeli to uczyni, będziemy musieli na nowo wymierzać podatki, bo nie starczy pieniędzy na poprawienie dróg i na utrzymanie szkół.

Przez kilka minut nikt nie przemówił ani słowa. George przyglądał się siedzącym przy piecu. Każdy z nich obliczał w myślach, ile mu wypadnie zapłacić.

Clyde znów stanął przy piecu, grzejąc ręce.

— A wiecie, co moja żona usłyszała wczoraj przez telefon? — Clyde zamilkł, przenosząc wzrok kolejno to na jednego, to na drugiego z obecnych. Wszyscy przysunęli się bliżej, chcąc lepiej usłyszeć, co powie Clyde. — Powiedziano jej, że zeszłego lata Clyde zamordował w swoim hotelu jakiegoś bogacza z New-Yorku. Napewno w tym celu zabił, żeby zagarnąć jego pieniądze. Teraz już się przed niczym nie powstrzyma.

— Cóż, zawsze byłem zdania, że takiego bandyty, jak Sam Billings,

nie znajdzie się w całym Androskogginie, — zawołał George z odrazą. — Kiedy go ostatnio widziałem, zaraz sobie pomyślałem: ciekaw jestem, czy uda się Samowi nie pomieszać miejskich pieniędzy ze swoimi własnymi. Teraz widzę, że miałem rację. Trzeba go przyłapać i osadzić w więzieniu federalnym, niech tam posiedzi do końca swego życia.

— Pokaż sztukę i złap go teraz, — powiedział Clyde. — Tacy, jak Sam Billings, wszystko na rok naprzód obmyślą i obliczą. I jak on się teraz z nas śmieje! Tacy zawsze jeszcze ciebie wyśmiejają.

Rząd Federalny potrafi przytrzymać nie takich, jak Sam Billings, — odpowiedział George. — Gdyby tylko zechcieli go schwytać. Ale przecież nie będą się nim zajmowali. Więc w najgorszym wypadku sami go wpakujemy do Więzienia Stanowego.

Pozostali zgodzili się z Georgem. Niech tylko dostaną do rąk Sama! Już się postarają wepchnąć go do więzienia na najdłuższy termin, na jaki zezwala prawo.

W parę dni potem George spotkał jednego z członków samorządu miejskiego i zagadnął go o sprawę Billingsa. George miał następujący plan: postarać się, by policja we Florydzie wysłedziła Sama, a następnie wydelegować agentów szeryfa, którzy sprowadzą go na sąd do Androskogginu. Członek samorządu proponował inne postępowanie, mianowicie, że Artur Russel wpłynie na Rząd Federalny, by zażądał wydania Sama Billingsa za wywiezienie jego córki po za granicę stanu. — Jeżeli postąpimy w ten sposób, — dodał, — będzie można ściągnąć tutaj Sama, nie tracąc na to pieniędzy z miejskich funduszy.

George godził się na każdą propozycję, byleby tylko sprowadzono Sama Billingsa do Androskogginu

i sądzono za kradzież publicznych pieniędzy.

W jakiś czas po tej rozmowie ktoś doniósł Georgeowi, że Sam w towarzystwie Jenny Russel wyjechał na Kubę. Kiedy wieść o tym rozniosła się po mieście, nie było już ani jednego człowieka w całym Androsgogginie, któryby chciał się ująć za Samem, lub choćby powiedzieć jedno słowo w jego obronie. Przywłaszczył miejskie pieniądze i uciekł. Nikt nie chciał o niczym więcej wiedzieć.

— Nigdy nie miałem specjalnego zaufania do tego Billingsa, — mówił George w sklepie Clyde'a. — Już za dużo pieniędzy wyciągał ze swojego hotelu i dlatego stał się taki cheiwy, że mało mu było swoich, a zacheiało mu się jeszcze i

publiczne sumy przywłaszczyć. Gdybym był na miejscu Artura Russela, bezwarunkowo oddałbym go w ręce związkowych sędziów za tę historię z Jenny. Niech by to była moja córka i Sam Billings wywiózłby ją do Florydy, czy gdziekolwiek indziej, nie tylko bym kazał zaarrestować, ale poszarpałbym mu skórę na pasy.

— Tak, wielki błąd popełniliśmy, powierzając mu fundusze miasta, — przyznał Clyde. — Nawet w dziesięć lat nie pokryje się strat. Clyde miał w rękach z tysiąc dolarów, kiedy uciekł.

— I ty także byłeś w liczbie tych durniów, którzy na niego głosowali, — powiedział George. — Byłoby pożądane, żeby wyborcy trochę się lepiej rozumieli na tych sprawach.





— Jeżeli mnie pamięć nie myli, — odciał się Clyde, — to ty pastawileś kandydaturę Sama Billingsa na skarbnika funduszów miejskich.

George wyszedł ze sklepu i odwiązał konia. Pojechał do domu, pozostawiając Clyde'a Ballarda bez odpowiedzi.

Aż do końca zimy nie było żadnych wiadomości od Sama Billingsa, ani o nim. Zresztą, w tym okresie nie przypadały terminy płacenia żadnych rachunków i dotychczas miasto nie poniosło najmniejszej straty z powodu tego, że kasa miejska znajdowała się w rękach Sama.

Weczesną wiosną, gdy zazwyczaj w hotelu Billingsa przystępowano do przygotowań do letniego sezonu, rozpoczynającego się w czerwcu, rozległy się pogłoski, że Sam Billings powrócił. Widziano go w mieście i mówiono, że angażuje cieśli,

stolarzy i innych rzemieślników. Co rok o tej samej porze przeprowadzał remont hotelu.

Jenny Russel również wróciła do Androskogginu i wszyscy dowiedzieli się o tym natychmiast, w dniu jej przyjazdu.

W poniedziałek z rana dwudziestu rzemieślników stanęło do pracy w hotelu, rozpoczęły się przygotowania do letniego sezonu. Zdzierano deski z drzwi i okien, a na jeziorze przed hotelem, obok starych mostków, budowano nową przystań dla łódek. Wszyscy bezrobotni z miasta zgłosili się do hotelu po pracę, bo Sam Billings znany był z tego, że dobrze płaci i co sobotę regularnie i skrupulatnie wypłaca zarobki robotnikom.

Sam prowadził swoje interesy dokładnie tak, jak w poprzednich latach. Nikt mu nie powtórzył tych pogłosek, które o nim rozpuszczano

zimą, i Sam zupełnie nie wiedział, jakie przestępstwa zarzucał mu Clyde Ballard, i George Williams, i prawie wszyscy inni mieszkańcy Androskogginu.

W poniedziałek George przyjechał do miasta i dowiedział się, że Sam wrócił. George wszedł do sklepu Clyde'a i usiadł na ławie.

— No i co, okazuje się, że miejskie pieniądze są nietknięte, — powiedział do Clyde'a. Sam Billings wrócił do miasta i Jenny Russel, podobno, także.

— Słyszałem wczoraj, jak ktoś opowiadał przez telefon, że Sam Billings na jesieni kupił we Florydzie wielki hotel, — powiedział Clyde. Zabrał z sobą Jenny Russel, żeby zarządzała służbą hotelową i do glądała porządku i czystości. Jenny Russel to pierwszorzędną gospodyni i Sam zapewne zmiarkował, że nie znajdzie lepszej pomocnicy. I tutaj utrzyma mu hotel we wzorowej czystości i porządku.

— Naturalnie, Jenny to pracow-

nica, jakiej się nie znajdzie, — przytaknął George. — Kto u nas potrafi tak prowadzić gospodarstwo, jak Jenny Russel. Sam myślałem, czy by jej nie wziąć do siebie za gospodynię, a potem możebym się z nią nawet ożenił. Ale bo też Jenny to gospodyni — lepszej się nie znajdzie. Sam Billings ma głowę na karku, wiedział, kogo wybrać do zarządzania swoimi dwoma eleganckimi hotelami.

— Nie ma się czego niepokoić o miejskie pieniądze, — twierdził Clyde. Sam Billings to uczciwy człowiek.

— Ja myślę! Nie ma na świecie uczciwszego człowieka, niż Sam Billings. Przecież znam go od małego dziecka. Nawet w moich rękach fundusze miasta nie byłyby pewniejsze. Tak, Clyde, Sam Billings to uczciwy człowiek.

ERSKINE CALDWELL

Przełożyła Maria F.

Rysunki M. Szczesńewskiej





Dom „Czarnogłowych” w Rydze

W KRAJU NASZEGO PÓŁNOCNEGO SĄSIADA

Na próżno turysta, przesuwający na granicznej lotewskiej stacji w Zemgale wskazówki swego zegarka o godzinę wprzód, aby dostosować się do czasu wschodnio - europejskiego, szuka spojrzeniem dalszych oznak wschodu Europy, o którym mówi się u nas nie bez pewnej pogardy czy też poczucia wyższości. Nie bowiem nie zapowiada zmiany na gorsze, a nawet błyszczący bielą i czystością okazały budynek stacyjny o ileż wspanialej wygląda od naszej drewnianej niskiej stacyjki w sąsiednim granicznym Turmoncie. Lotewscy urzędnicy celni ani nie różnią się wcale od polskich; takie same zielone mundury koloru lasów sosnowych, a nawet w stosunku

do polskich pasażerów posługują się dobrą polszczyzną, co do reszty zaciera wrażenie „zagranicy”. Dopiero w chwili wsiadania do lotewskich wagonów znów nasuwa się różnica. Koleje bowiem lotewskie, podobnie jak estońskie i fińskie, przejęły po Rosji szerokotorowy tor, ten symbol dawnego rosyjskiego wschodu Europy, a obecnie w stosunkach z resztą państw europejskich jest to „kulą u nogi” nie pozwalającą na wymianę wagonów w międzypaństwowych połączeniach.

Wnętrza wagonów też wykazują zasadnicze różnice w zestawieniu z polskimi pulmanami. Przedziały szerokie, obszerne, — ławki w kl.

III-ciej mają obicia skórzane, a podnoszone oparcia tworzą nad głowami siedzących pasażerów rodzaj „górnego pokładu“ na bagaż lub spanie. Ponadto na bagaż istnieją schowki pod dolnymi ławkami, które właściwie są długimi skrzyniami o podnoszonych wiekach - siedzeniach. Olbrzymie okna są odsuwane ku górze i mogą być podniesione tylko o ćwierć swej wysokości. W ogóle uderza fakt, że mimo 40-to stopniowego lipcowego skwaru, okna pozostają w większości szczelnie pozasuwane, a pasażerowie, narazie nieliczni, wprost duszą się w zaduchu, ale zagadka ta wnet sama się wyjaśnia.

Otóż po ruszeniu pociągu, a trzeba dodać, że łotewskie pociągi ruszają z miejsca bardzo gładko i prawie niedostrzegalnie, wznoszą się z toru spod pędzących wagonów całe chmury pyłu - drobnutkiego piasku, którym podsypyany jest tor. Pył ten, mimo szczelnie zamkniętych okien, niewiadomymi drogami wciska się do wnętr wagonów i wnet całe jego masy unoszą się w przedziałach, osiadając szarą, z minuty na minutę grubiejącą warstwą na walizach, ławkach, półkach, na twarzach i ubraniach pasażerów, wciska się w nozdrza, drażni w oczach, zgrzyta między zębami.

A tymczasem za oknami suną wstecz ciemnozielone ściany lasów sosnowych, porastających piaszczyste pagórki, przebiegają szare wioski skryte w cieniu konarów prastarych rosochatych dębów, to znowu ścielą się złote lany dojrzewających zbóż, bieleją się płachty hreczki, zieloną pastwiska i łąki ze skopionym sianem. Jednym słowem krajobraz taki sam jak u nas na Wileńszczyźnie. Od czasu do czasu sosny przegłądają się w tafli jeziora, rzecznego tu wśród boru jak kawał rozbitego zwierciadła. To znów pas-

twiska ze stadami czarno - białych krów i stadkami owiec, a opodal droga z brukowaną „kocimi łbami“ jezdnią, po której terkocą wozy i śnią samochody. Woźnice na wozach w rosyjskich rubaszkach i w granatowych muciejówkach na głowach, a dyszle wozów połączone wysokimi rosyjskimi kablakami.

Po kilkudziesięciu minutach zarysowują się na horyzoncie wieże Dyneburga, a po chwili jeszcze, przejechawszy szerokie koryto Dźwiny i most, zatrzymuje się pociąg na peronie przed szarym drewnianym dworcem noszącym napis „Daugavpils I“. Samo miasto o ile to pobieżnie z okna wagonu można osądzić, składa się przeważnie z budynków parterowych drewnianych, z morza których sterczą z rzadka wyższe, jedno i kilkupiętrowe murowane bloki, ale i te mają przylepione nazewnątrz drewniane klatki schodowe.

Do przedziałów dotąd dość pustych napływa fala nowych pasażerów. Obok łotewskiego bardzo często daje się słyszeć język rosyjski. Po chwili postoju znowu za oknami przesuwa się monotonny krajobraz, zupełnie w swych zasadniczych rysach nie zmieniający się przez całe 7 godzin jazdy do Rygi.

Od Dyneburga droga kolei aż do Rygi poprowadzona jest szeroką doliną Dźwiny, po łotewsku Daugavy, która stanowi naturalny domorski szlak komunikacyjny od prawieków już wykorzystywany w komunikacji z wybrzeżem Bałtyku.

Po siedmiu godzinach drogi od granicy polskiej zajężdża pociąg na peron dworca w Rydze. Przez olbrzymią halę dworcową wychodzi się na plac dworcowy i pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy, to zielony pas plant, odgradzających od nowoczesnych dzielnic leżących nad Dźwiną Stare Miasto. Szeroki pas plant przecięty jest kanałem, pozostałością po dawnych fortyfi-



Sredniowieczne kamieniczki holenderskiego typu na Starym Mieście w Rydze

staci, z których czołowa: kobieta na mieczu wsparta i dwóch mężczyzn po bokach — to Łotwa w otoczeniu rolnictwa i rzemiosła. Całość naprawdę imponująca tak ogromem, jak i monumentalnością rozwiązania, szkoda tylko, że do budowy jej użyto tak mało odpowiedniego i tak bardzo nietrwałego i podatnego na wietrzenie materiału jakim jest trawertyn (martwica wapienna).

Drugim dziełem tegoż rzeźbiarza, również w całości wykonanym w trawertynie to zaprojektowane przez niego Bratnie Mogiły - Bralu kapi - miasto poległych w walkach o wolność Łotwy. Za miastem na prawym brzegu Dźwiny w dzielnicy zielonych parków i cmentarzy wznosi się wielki prosty mur z trawertynowych ciosów wzniesiony, z basztami na rogach a w ścianie zaś frontowej trzy olbrzymie pro-

Pomnik „Wolności“ w Rydze

kacjach. Dziś tam gdy niegdyś w rowach pod murami miasta cuchła rdzawa, brudna woda, po czystej gładkiej toni suną kajaki i łodzie spacerowe.

Na Brīvības bulvar, w miejscu gdzie przecina on pas plant, wyrasta przed nami pod niebo biały obelisk, zakończony olbrzymią spiżową postacią kobiety, symbolizującej wolność. W wyciągniętych ku niebu rękach trzyma trzy gwiazdy z herbu Łotwy, którymi zda się bóść obłoki. To niedawno wzniesiony pomnik Wolności, projektu rzeźbiarza Zale, obrazujący w monumentalnych kształtach wolnościowe dążenia Łotyszów. Na cokole posągi i płaskorzeźby, przedstawiające walki o wolność, a wyżej u podstawy obelisku grupy symbolicznych po-



stokątne otwory stanowią wejście, przez które otwiera się wspaniała perspektywa na aleję bohaterów, widniejąca na jej końcu olbrzymią białą postacią Chrystusa z koroną cierniową w dłoni. Po obu stronach wejściowych otworów potężne płaskorzeźby pancernych średniowiecznych konnych rycerzy chylących proporce w obliczu rycerzy ostatnich bojów.

Na końcu strzyżonej alei, co jak mur zielony wiedzie ku olbrzymiej postaci Chrystusa czuwającej nad snem wiecznym poległych, u stóp posągu Zbawiciela na obniżonym o kilka metrów czworobocznym polu, wśród zieleńców szareją długie szeregi płyt nagrobnych pod którymi spoczywa 2.000 poległych o wolność. Pozostali, dziś jeszcze żyjący bojownicy, mają już tu wyznaczone swe miejsca, gdzie po trudzie życia spoczną wśród swych dawnych kolegów i towarzyszy broni na polu Bratnich Mogił.

Wrażenie jakie to prawdziwe pole umarłych wywiera na zwiedzającym jest wprost kolosalne. Chyba jest to jedyne na świecie tego rodzaju rozwiązanie cmentarza wojennego, połączenie bohaterstwa z pośmiertną ciszą i spoczynkiem. Wszystko nastraja do skupienia i powagi: i te szare trawertynowe mury z kamiennymi rycerzami, i cisza zielonej alei, i zastygła jakby w zamyśleniu postać Chrystusa, i długie, długie szeregi grobów. — a jedyną ożywiającą całość rzeczą jest płonący nad kamiennym ołtarzem u stóp Chrystusa krzyż, symbol męki i zwycięstwa.

Oddzielone pasem plantów i kanałem od nowoczesnych dzielnic leży na prawym brzegu Odżwiny Stare Miasto, — labirynt wąskich, krętych uliczek, zbiór wysokich wąskich kamienic, które od wieków nie zmieniły swego wyglądu. Zmieniali się tylko ludzie w nich

mieszkający, zmieniły się czasy, — one pozostały bez zmian.

Z murów, co kiedyś najeżonymi basztami pierścieniem starą Rygę opasywały, pozostały dziś tylko znikome resztki, skryte wśród zieleni plant. Jediną dobrze zachowaną częścią dawnych obwarowań 1201 roku sięgających jest potężna okrągła baszta, w której po odrestaurowaniu mieści się dziś muzeum wojskowe. Idąc od baszty ku wnętrzu Starego Miasta mijamy t. zw. „Bramę Szwedzką” i fantastyczne jakby żywcem z średniowiecza przeniesione jej otoczenie. Domy z rodzajem wykuszy, szare fasady starych kamieniczek, spadziste dachy z czerwonej falistej dachówki, wąskość uliczki i wydeptane nogami tysięcy pokoleń bruki — wszystko to przenosi żywcem zwiedzającego daleko wstecz w ubiegłe wieki. Nastrój taki towarzyszy już ciągle w czasie spaceru po starej Rydze. W miarę mijania wąskich krętych uliczek coraz nowe widoki. Tu fasady holenderskich kamieniczek z XVI i XVII wieku sąsiadują z gotyckim frontem wąskiej dwuokiennej kamieniczki. Tam znów przy szerokiej na niespełna cztery metry uliczce, piękna barokowa kamieniczka z kwiatami malowanymi na murze, a nad wejściem zielona plama pnącego się po murze dzikiego winu. Szjld mówi, że to winiarnia.

Z wąskiej, mrocznej mimo słońca uliczki wieje chłodem i pleśnią wieków co przeszły. Tu na jej dno nie docierają nigdy promienie słońca, one złocą tylko potokami jaskrawego światła szczyty fasad, najwyższe piętra i strome czerwone dachy, — dół pozostaje zawsze mroczny i zimny. Po bruku tętnią rozgłosnie kroki przechodniów odbijające się głuchym echem wśród murów. — ale ci ludzie co dziś tędy przechodzą jakże nie harmonizują z otoczeniem, — zdają się być in-

truzami, którzy wtargnęli tu w ten świat żyjący przeszłością.

Przy małym ryнку otoczonym fasadami starych, średniowiecznych kamieniczek wyróżnia się wspaniałością i bogactwem ozdób gotycki fronton Domu Czarnogłowych z olbrzymim zegarem, który od 300 lat wskazuje obok godzin miesiące, tygodnie, fazy księżyca i dzień. Obok wejściowej bramy dwie płaskorzeźby rycerzy w czarnych maskach na twarzach. Dom ten kiedyś był siedzibą rycerskiego bractwa t. zw. „Związku Czarnogłowych“, gdyż symbolem jego była czarna maska noszona na twarzy podczas zebrań i zabaw, które słynęły szeroko z rozpusty i swawoli, a nawet w karnawale zaszczytane były często obecnością rosyjskich carowych. Dziś w Domu Czarnogłowych nieści się muzeum historyczne, a obok



Okrągła baszta w Starej Rydze

Średniowieczna uliczka koło „Szwedzkiej Bramy“



dokumentów, zbioru sreber i obrazów widzieć tam można bogaty niewieści pantofelek – według tradycji zgubiony w czasie zabawy przez jedną z carowych, biorącą udział w karnawale Czarnogłowych.

Nad zbiorowiskiem wysokich czerwonych dachów starego miasta wysoko ku niebu wznosi się smukła wieża kościoła świętego Piotra 135 m. wysokości w całości z drzewa wa zbudowana i z tej racji najwyższa drewniana wieża w Europie. Dawna gotycka katedra sięgająca XIII wieku należąca dziś do ewangelickiego arcybiskupstwa, przed reformacją jeden z najbogaciej wyposażonych kościołów, obecnie straszny pustką swych огоłoconych z obrazów i ozdób wnętrz. Na szarych przeraźliwie pustych ścianach czernieją tylko ramiona krzyży. W pod-



„Bratnie Mogiły“ poległych w walce o Niepodległość Łotwy

ziemiach tumu spoczywają prochy liwońskich biskupów i wielu możnych zamierzonych czasów.

W przeciwieństwie do Starego Miasta nowoczesna, rozbudowana na obu brzegach Dźwiny Ryga to nawskroś zachodnio - europejskie miasto. Ulice szerokie, przecinające się pod ostrymi kątami dają w planie tak typową dla miast nowych o planowej rozbudowie kratę. Wielopiętrowe bloki i kamienice, nowoczesne magazyny z lustrzanymi tafłami olbrzymich szyb okiennych, szybko mknące tramwaje i masa nowoczesnych samochodów sprawnie i cicho bez sygnałów mknących po gładzi asfaltowej jezdni, wszystko to składa się na symfonię nowoczesności i postępu.

Najmłodsze dzielnice miasta wyciągają się jak macki polne, a wzdłuż promieniście rozbiegających się z Rygi szlaków komunikacyjnych, co daje nieregularny i mocno rozczłonkowany zarys miasta.

Reprezentacyjna dzielnica pałaców rządowych i monumentalnych gmachów jak: olbrzymie muzeum sztuki, mieszczące zbiory rzeźby i malarstwa łotewskiego, jak pałac rządowy, teatr, uniwersytet, czerwona neogotycka Szkoła Handlowa, wreszcie klasyczny gmach Narodowej Opery, skupia się koło plant i olbrzymiego skweru pobliskiej Esplanady — sportowego boiska.

Uderzająca jest podczas przechadzki po Rydze wielka ilość spotykanych szkół i gimnazjów, a najwyższa z nich, uniwersytet, mieszczący się w szarym, neoromańskim gmachu przy Rainsa bulwars naprzeciw zielonych plant jest ośrodkiem nauki łotewskiej. Nie od rzeczy będzie tu nadmienić, że co do ilości szkół, przypadających na liczbę mieszkańców Łotwa zajmuje czwarte miejsce w Europie, a pod względem liczby nauczycieli na 1.000 dzieci — pierwsze.

Dzięki wysokiej oświacie kwitnie

czytelnictwo, a całe państwo pokryte jest gęstą siecią bibliotek, przy czym w samych państwowych jest około 500.000 tomów. W gmachu ministerium rolnictwa mieści się ośrodek wewnętrznego życia Łotwy, która jako kraj rolniczy ($\frac{3}{4}$ mieszkańców to rolnicy) prowadzi całą swą wewnętrzną politykę po linii interesów rolnictwa. Po przeprowadzeniu reformy rolnej Łotwa należy do państw małorolnych (34% gospodarstw ma od 2—20 ha. ziemi, a 36% to gospodarstwa 20—50 hektarowe), a mądra polityka ministerium rolnictwa i całego rządu Prezydenta i Premiera Dr. K. Uhnaniša, dostosowująca całokształt gospodarczego życia do potrzeb rolnictwa i zasilająca je rządowymi pożyczkami sprawia, że dobrobyt łotewskiego rolnika jest na długo zapewniony.

Ryga liczy obecnie 400.000 mieszkańców, wśród których jest i liczna 16.000 głów licząca dobrze zorganizowana Polonia, posiadająca nawet polskie gimnazjum.

Nocą, gdy zapłoną neonowe reklamy i zabłyśną reflektory oświetlające fasady monumentalnych gmachów, Ryga przybiera wygląd miasta z bajki. Szczególnie pięknie iluminowana jest Narodowa Opera, skryta wśród zieleni plant. Fasada z klasycznym kapitelem, wspartym na jońskich kolumnach, będąca kopią berlińskiej opery, w oświetleniu reflektorów, odbijając się w wodzie kanału, przecinającego planty daje obraz czarownego zakątka, wyśnionego z fantazji.

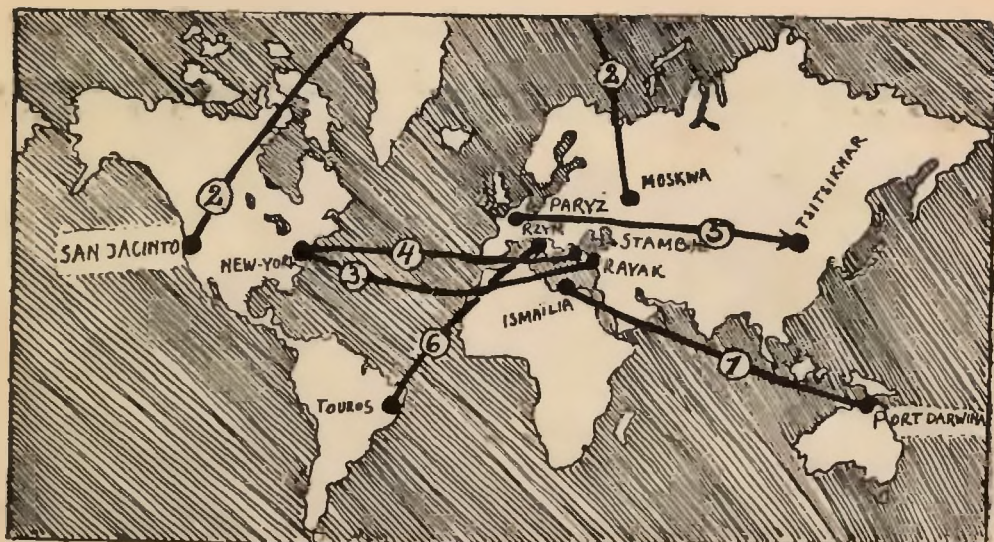
A mroczne, wąskie uliczki Starego Miasta w oświetleniu latarń przybierają nieznany we dnie urok. Rządcy przechodnie przemykają się jak cienie pod murami kamieniczek, ubranych żółtymi plamami światła i czernią cieni w załamaniach fasad.

Czernią się potężne i mroczne masywy starych kościołów, a wysoko ku granatowemu niebu wznosi się wieża św. Piotra, zda się jeszcze wyższa w nocnej pomroce. W fantastycznym oświetleniu latarń rzeźby na fasadzie Domu Czarnogłowych zdają się żyć i poruszać, a z ciemnych zakamarków pustego rynku wypełzają jakieś nieuchwytnie cienie, snują się pod murami uśpionych kamieniczek i znikają w wąskich, ciemnych uliczkach. Ryga śpi, tylko koło „Szwedzkiej Bramy” mroczną uliczką włóczy się teraz upiór z odciętą głową w ręce, który, żyjąc w przetrwalej od średniewiecznej tradycji, straszy tu późniejszych przechodniów.

WOJCIECH WALCZAK

Uliczka Starej Rygi





W ciągu 10 lat - sześć rekordów... i postęp 4000 km.

11.523 km. bez lądowania

1928: 7.188 km śr. syb. 132 km/g.
1938: 11.500 „ „ „ 240 „

Pierwszy raz w historii lotnictwa grupa 3 samolotów zaatakowała rekord światowy. Spotykaliśmy się wprawdzie już nie raz z lotami grupowymi, nawet kilkunastu samolotów (Włochy), ale miało to znaczenie bardziej propagandowo - polityczne i nie chodziło o pobicie jakiegoś rekordu. Tym razem zaatakowano jeden z najtrudniejszych rekordów, a mianowicie długości lotu bez lądowania. Trzeba więc było pokryć około 11.000 km.

Do tego niezwykle przedsięwzięcia lotnictwo angielskie przeznaczyło wojskowe bombowce o dużym zasięgu lotu, aparaty Vickers Wellesley, jednomotorowce (Bristol Pegasus), jedynie zaopatrzone w dodatkowe zbiorniki paliwa.

Wszelkie loty długodystansowe w dzisiejszych czasach, dzięki radio-

gonimetrii i udoskonalonemu problemowi nawigacji, nie wymagają wprawdzie specjalnego wysiłku od załogi samolotu, która w dodatku może częściowo wypoczywać, zmieniając się w pilotażu.

Właściwe trudności występują w dwóch rzeczach:

W startowaniu z pełnym obciążeniem i regularnym funkcjonowaniu motoru.

Pierwsza trudność została łatwo przezwyciężona: 3 aparaty o godz. 3:55 rano wystartowały bez wypadku z lotniska w Ismailii (Egipt), mimo, że ich całkowita waga wynosiła przeszło 6000 kg, dla wagi własnej bez paliwa 2.845 kg (!). Druga trudność również została pokonana: motory wytrzymały doskonale, pracując niezawodnie i regularnie, co przynosi najwyższą pochwałę konstrukcji i samemu materiałowi silników Bristol Pegasus.

Same bombowce Vickers Wellesley są to jednopłaty o skrzydłach dolnych, jednomotorowce o konstrukcji geodetycznej. Na próbach, ich średnia szybkość normalna z obciążeniem 1.915 kg. wynosiła 326 km/godz., maksymalna zaś 367 km/godz. Załoga każdego samolotu składała się z dwóch pilotów i radiomechanika. Załogi były poddane bardzo ciężkim i surowym próbom ćwiczebnym, tak, że podczas przygotowań i prób Anglia straciła 4 podobne aparaty...

Po wystartowaniu z Egiptu 3 samoloty kolejno przeleciały ponad Arabią, zatoką Perską, Indiani, zatoką Bengalską, (Singuap) Singaporem, morzem Tirmana, aby osiągnąć cel swojej podróży, Port Darwin, w Australii.

W prostej linii przedstawia to dystans około 11.500 km, ale lecąc w powietrzu, czyni to 12.500 km!

Celem niesienia pomocy w razie wypadku, na trasie lotu przygotowano pomoc w postaci statków, a mianowicie: w zatoce Perskiej, w zatoce Bengalskiej i na morzu Tirmana.

Wiemy już dokładnie jakie było zakończenie lotu: Rekord był już pobity o godz. 2:30 (7 - XI), kiedy aparaty znajdowały się w odległości około 500 km od Australii.

O godz. 4-ej samolot Nr 1, dowodzony przez komendanta eskadry Kellet, wylądował w Port Darwinie. Pięć minut po nim przybył samolot Nr 3. Co do aparatu Nr 2, to ten, będąc w pewnych kłopotach, związanych z niedostateczną ilością paliwa, lądował w Koepang, na wyspie Timora. Po zaopatrzeniu w paliwo przybył do Portu Darwin o godz. 8:10.

Nr 1 i Nr 3 pokryły w linii prostej 11.500 km, Nr 2 zaś 10.625 km. Rekord więc lotników sowieckich Gromowa, Jamaszewa i Danilina, został pobity trzykrotnie.

Śmiały wyczyn, podjęty przez

lotnictwo angielskie powiódł się znakomicie.

Wysłać 3 aparaty na pobicie rekordu światowego i to w dodatku jednego z najbardziej trudnych — i tryumfować trzykrotnie, to jest naprawdę rzecz błyskotliwa i godna najwyższego poklasku. Tym bardziej, że została zrealizowana przez grupę aparatów i to w dodatku aparatów, będących w służbie formacji lotniczych. Można wprowadzić zarzuty, że trzy Vickers Wellesley nie przyleciały w pełnej grupie i że jeden z nich lądował na wyspie Timor. Tym mniej jednak, osiągnąć zwycięski rekord trzema aparatami, niezbudowanymi specjalnie „na rekord“, to rzecz niezwykła, dowodząca wysokich jakości materiału wymienionych typów.

Mniej więcej od roku, samoloty te w ilości kilkuset sztuk obsługują wszystkie wojskowe formacje lotnicze Wielkiej Brytanii.

Zwycięskie aparaty rekordowe są identyczne z tymi, na których codziennie ćwiczy setki lotników angielskich. Różnica polegała tylko na zaopatrzeniu w dodatkowe zbiorniki. Jakież praktyczne wnioski można wyciągnąć ze zwycięskiego lotu bombowców angielskich? Przede wszystkim nie można nie zauważyć, że żadne miasto, żadna stolica nie będzie zbyt odległa dla bombowców Vickers Wellesley... Dalej, nie trzeba również zapominać, że Wielka Brytania może wysłać swe aparaty do każdego ze swoich dominiów, bowiem odległość w tym wypadku nie gra już roli...

To byłyby wnioski raczej polityczne. A sportowe? Porównanie, uczynione między rekordem Ferrarini'a i Del Prete'a (Włochy) z roku 1928 na trasie Rzym — Touros (Brazylia) i wynoszącej 7.188 km, a ostatnim rekordem angielskim, który przyszedł po 10 latach, wykazuje, że zysk w odległości wyno-

si 4.312 km, zaś różnica szybkości średniej — 108 km/godz.

Nie możemy również zapominać o różnicy trudności dawnych lotów a obecnych. Nie ulega bowiem kwestii, że lot Kellet'a i jego towarzyszy był o wiele łatwiejszy od wszystkich poprzednich lotów rekordowych.

Śmigło o zmiennym skoku pozwala na dużo łatwiejsze startowanie z pełnym obciążeniem, trudności zaś samej nawigacji są znacznie zmniejszone wskutek ostatnich zdobyczy radiogoniometrii, wreszcie obsługa meteorologiczna pozwala na omijanie niebezpiecznych stref powietrznych.

Jedyna właściwa trudność polega na osiągnięciu jaknajmniejszego zużycia paliwa i utrzymania ekonomii tego zużycia.

To jest właśnie to, co lotnicy angielscy stale ćwiczą i nad czym pracują od szeregu miesięcy. Ostatnie postępy w dziedzinie konstrukcji motorów nowoczesnych, pozwalają obecnie na osiąganie rzeczy na pozór niemożliwych. Cóż bowiem znaczy dzisiaj 50 godzin bezustannej pracy dla silnika o wysokiej ekonomii zużycia paliwa? To wszystko jednak nie obniża w niczym niezwykłego wyczynu potrójnego rekordu lotników angielskich. Jest to normalny rezultat drobiazgowe-

go i skrupulatnego przygotowania doskonałego aparatu.

Mapka, przedstawiająca koleję losu, jakim uległ rekord długości lotu jest dosyć charakterystyczna.

Od 1928 r. rekord dystansu bez lądowania został 6 razy pobity. Trasy lotu były najrozmaitsze: Północny Atlantyk, Południowy Atlantyk, biegun północny, Ocean Indyjski... Być może niedługo czeka nas podróż Japonia—Stany Zjednoczone, ponad Pacyfikiem. Przyszłość okaże.

Sześć rekordów świata w kolejności wygląda następująco :

1. Kellet, Gething, Gaine (W. Brytania) z Ismailii (Egipt) do Portu Darwina (Australia) 11.523 km 5, 6, 7 listopad 1938 r.

2. Gromow, Jumaszew, Danilin (Z. S. S. R.) z Moskwy do San Jacinto (Kalifornia) 10.148 km. 12, 13, 14 lipiec 1937 r.

3. Codos, Rossi (Francja) z New-Yorku do Rayak (Indie). 9.104 km. 5, 6, 7 sierpnia 1933 r.

4. Bordman, Polando (U. S. A.) z New-Yorku do Stambułu 8.065 km 28, 29, 30 lipca 1931 r.

5. Costes, Bellonte (Francja) z Paryża do Tsitsikharu (Mandzuria) 7.905 km. 27, 28, 29 wrzesień 1929 r.

6. Ferrarin i Del Prete (Włochy) z Rzymu do Touros (Brazylia) 7.188 km. 3, 4, 5 lipca 1928 r.

Z. DALL

CZYTAJCIE „TYGODNIK ILLUSTROWANY”



Niedokończona pieśń miłości

11 listopada 1918 roku nad wieczorem, sir Gerald Everest zmarł samotnie. W ciszy, jakby dyskretnie żegnał się z życiem, ciągnącym się już zbyt długo. Od rana, przez okno otwarte na ogród, ogłocoony przez jesień, nasłuchiwał odgłosów z miasteczka, spowitego we mgłę, obchodzącego uroczyste odrodzenie świata. Przez wciąż otwierające się drzwi baru z sąsiedniej ulicy dochodziły ostre dźwięki fonografu wygrywającego marsze wojskowe, których Everest słuchał niegdyś, kiedy śpiewali je żołnierze idący do walki poprzez spalone żarem gościniec Indyj. Everest przeżył swój czas. Wspomnienia 86 lat tworzyły łańcuch, który ciężko było dźwigać. Sir Gerald był już jedynie osobistością bez znaczenia, kimś bardzo starym, zapomnianym. Był szczęśliwy dlatego jedynie, że dożył tego właśnie dnia, szczęśliwszy niż kiedykolwiek od

chwili, gdy minęła jego młodość, należąca do minionego wieku, której historii nie znał nikt.

Gdy noc zapadła, gospodyni, miss Beverley, która podejmowała w kuchni listonosza i służącą pastora kieliszkiem wina na cześć zawieszenia broni, pomyślała, że trzeba dowiedzieć się, jak się czuje jej pan, który z powodu przewlekłego bronchitu miewał co wieczór trochę gorączki. W pokoju przeladowanym trofeami z kolonij, w tej chwili tonącym w mroku — znalazła Eversta leżącego nieruchomo. Zapaliła lampę i dostrzegła na wyniszczonej twarzy dziwny wyraz natchnionej ekstazy. Zrozumiała, że Everest już nie żył. W pośpiechu wróciła do kuchni i ocierając chusteczką oczy, westchnęła:

— To serce nie wytrzymało! Jednak wyglądał o 10, 12 lat młodziej, niż miał w istocie.

Odzyskawszy spokój zobowiąza-



la listonosza, by zatelefonował do Londynu, do miss Wirginii, jedynej krewnej Everesta, która się nim interesowała.

— A inni członkowie rodziny? — próbowała pytać służąca pastora — Czy się nie obraża, że zawiadomi się tylko wnuczkę?

— Ci inni są w Chinach, w Indiach, diabli wiedzą gdzie! — rzekła Beverley. Ojciec miss Wirginii walczył w ostatnich czasach we Francji, a jego żona, porzuciwszy wszystko uciekła z jakimś włoskim lotnikiem. Obecność siostrzenicy na pogrzebie zupełnie wystarczy. Ona kochała bardzo sir Geralda; przyjeżdżała tu często, by spędzić z nim tydzień lub dwa, pamięta pani? Jest to mało rozmowna osoba; siedzieli sobie tutaj sir Gerald i ona, patrząc na siebie w milczeniu. Prosił ją, by nigdy, póki on żyje, nie grała na fortepianie i nie interesowała się muzyką... Uważałam to za dziwactwo.

Beverley miała chęć snuć swe refleksje, lecz służąca pastora pobie-

gła, gdzie wzywał ją obowiązek, a listonosz udał się w kierunku poczty. Gdy zatelefonował do Londynu, dowiedział się, od pokojówki, że miss Wirginia wyjechała przedwczoraj do Francji i, że zabawi tam prawdopodobnie jakiś czas. Nie zostawiła swojego adresu, nie wiedząc, czy zatrzyma się w hotelu, czy też u swej przyjaciółki.

Wobec tego Beverley reprezentowała w kościele i na cmentarzu nieobecną rodzinę.

Po powrocie do Londynu Wirginia dowiedziała się o nowinie, która nadeszła przed tygodniem. Nie roztwierając nawet walizek, pierwszym pociągami pojechała do miasteczka, gdzie zamieszkiwał Everest. Doznawała uczucia, że serce jej pęka. Życie jej nie zostało złamane, ani zburzone zniknięciem tego bardzo starego człowieka, lecz teraz zabraknie jej ułu ty spokoju, pociechy, a nadewszystko swobody marzenia u boku tego cichego starca, zdającego się pozostawać pod urokiem marzeń, utkanych z dawnych przeżyć, wspomnień i rozmyślań, których znaczenia i tajemnej treści Wirginia nie była w stanie pojąć. Kochała dziadka — choć był dla niej tak daleki — jak kocha się legendę, nie znając dokładnie ani jej początku, ani końca. Wiadomo było Wirginii, że Everest był w młodości oficerem w Indiach, i że owdowiawszy przedwcześnie, porzucił służbę wojskową. Te fakty nie wystarczały jednak, by wypełnić nimi życie, które ciągnęło się poprzez trzy panowania, wytrzymało katastrofy dziejowe, zaklasyfikowane już w Historii, przetrwało cztery lata rzezi, by zakończyć się w godzinę, gdy bez wątpienia rodził się świat nowy. Jednakże Wirginia godziła się na tajemniczość, uszanowała niedokładność swych wiadomości. Od młodości znajdowała między dziadkiem i sobą podobieństwo w sposobie my-

ślenia. Przyglądając się rysunkowi, opatrzonemu datą 1858, naszkicowanemu przez pewnego korespondenta Times'a w Indiach, uczyniła spostrzeżenie, że była podobna do dziadka, że należała do tej samej rasy. Parę pociągnąć ołówka pochwyciło zdecydowany wyraz twarzy młodej, dziwnie wyrazistej, pociągłej, kryjącej jakieś głębokie cierpienie. Everest mógł w tym czasie uchodzić za bardzo pięknego młodzieńca, który musiał wzbudzać zainteresowanie kobiet. W oczach Wirginii był mężczyzną, którego młodość i entuzjazm wyczerpywały się. Zdawało się Wirginii, że odgadywała przyczynę tej rozpacz — rozpacz już zastygłej, stęzałej, stłumionej — po stracie ukochanej gorąco żony po dziesięciu miesiącach małżeństwa. Obraz Alicji Everest, tej czarującej Irlandki, zmarłej na odległej placówce w Indiach, w epoce krinolin i walców, wspomnienie o niej, przywiązanie, okazywane przedmiotom, które jej były drogie — zdawały się składać na przewodni ideał, ideał nawet jedyiny w życiu tego człowieka, który istniał dalej bez niej.

U kresu podróży, gdy Wirginia wysiadła na dworcu prowincjonalnej stacyjki, powitał ją jednorekci zawiadowca, zwolniony z wojska na początku wojny, którego spotykała za każdą swą bytnością u Everesta.

— Wszyscy tu współczują pani, miss Everest, lecz umrzeć w dniu zawieszenia broni, w tym wieku, to mimo wszystko, pięknie!

Jakaś stara dama w karakulowym futrze, kupująca tygodniki w kiosku z gazetami, usłyszawszy nazwisko Wirginii, obróciła się szybko. Spojrzenie młodej dziewczyny spotkało się z oczyma damy, wyrażającymi jakgdyby wahanie, czy wzruszenie. Wirginia dostrzegła w

wychudzonej, pożółkłej twarzy jedyne te oczy, bardzo ciemne, duże i błyszczące. Dama uczyniła gest, jakby chciała podejść do Wirginii, lecz zmieniwszy widać zamiar, wyszła z hallu powolnym, trochę ociężałym krokiem i wsiadła do staroświeckiego powoziku, czekającego przed dworcem.

Zdziwiona Wirginia rozmyślała:

„Ona musiała należeć do znanych wuja Geralda... Ciekawe, że nigdy jej nie spotkałem u niego. Czy to możliwe, żebym była do tego stopnia odstrasząca, żeby ta dama ze trzy razy starsza ode mnie, nie miała odwagi złożyć mi kondolencji?”

W domu, gdzie przyjęła ją godna i współczująca Beverley, Wirginia zapomniiała o nieznajomej, zniszczonej i pełnej niepokoju twarzy. Przygnębiona uczuciem pustki i samotności, miss Everest zatrzymała na chwilę gospodynię, która podała właśnie herbatę.



— Pozostanę tu jakiś czas, Beverley, chciałabym dowiedzieć się od pani czegoś o dziadku Geraldzie... Jak czuł się ostatnio, przed śmiercią?

— Tego dnia właśnie, gdy... rozstał się z tym światem, wyglądał na szczęśliwego. Ah, 11 listopada... Tylko, gdy dowiedział się o zawieszeniu broni, zachował się dziwnie... On, który był przecież przy zdrowych zmysłach, i stał wyżej od innych... Oparł czoło o szybę, tam, obok w pokoju, gdzie umarł, w muzeum, jak mawiał, i kilka razy jechutko powtórzył imię, dziwaczne, heretyckie: „Jhansi, Jhansi...“ Słyszę je jeszcze i zimno mi się robi na myśl o tym! Nie ma nikogo tego nazwiska w mieście, a jedyny cudzoziemiec Włoch, jest malarzem pokojowym i nazywa się Gozzoli!

Cień uśmiechu zjawił się na twarzy Virginii.

— Jhansi — to nazwa pewnego miasta w Indiach. Dziadek był tam, sądzę w garnizonie, jako młody człowiek, wtedy, gdy Alicja... Mrs Everest żyła.

— Biedna kobieta! — rzekła Beverley.

Dziwny, dwuznaczny i cierpki ton, uszedł uwagi Virginii, która skierowała się do sąsiedniego pokoju. Znalazłszy się w tym „muzeum“ i zamknąwszy drzwi, zaczęła błądzić między indyjskimi trofeami, mongolską bronią, wazami z Lahory, meblami z tekowego drzewa, które zachowały woń wschodu. Przybita tą samotnością, jaka musiała ciążyć nad życiem Everesta i w jakiej zaskoczyła go śmierć, Virginia siadła przed fortepianem, którego niegdyś zabronił jej dotykać. Wydawało się jej, że korowód cieniów przesunął się przed nią, że wszystkie te postacie, które brały udział w tajemniczym życiu Geralda Everesta, zjawiły się teraz w tych czterech ścianach... z ser-

cem ściśniętym trwogą, Virginia uczyniła wysilek, by się oprzeć niepokojącemu przewrażliwieniu. Postanowiła zaprowadzić ład w „muzeum“ i, przypuszczając, że dziadek mógł zostawić testament, lub list zawierający jego ostatnią wolę, przejrzała zawartość hebanowego, inkrustowanego srebrem sekretarzyka, przywiezionego z Delhi. W jednej z szuflad spostrzegła niezapieczętowaną kopertę z napisem: „Dla Virginii“ i na arkusiku, jaki znajdował się wewnątrz, miss Everest przeczytała tych parę wierszy:

„Niechaj Virginia wybierze po mojej śmierci wszystkie te przedmioty i meble, które jej się podobają, z wyjątkiem fortepianu i nut, które przeznaczam dla miss Astor (Willa „Cedry“ Leśna Aleja). Zobowiązuję Virginie, by zajęła się sprawą dostarczenia miss Astor tych rzeczy, Moi spadkobiercy, znacznie ode mnie bogatsi, nie mogą mi tego wziąć za złe“.

Virginia nigdy nie spotkała miss Astor, ani nigdy nie nie słyszała o niej. Była wzburzona. Wiedząc, że, aby zacerpnąć wiadomości, nie znalazłaby nikogo odpowiedniejszego, ktoby jej dostarczył plotek z zakresu miejscowej kroniki, niż Beverley, powróciła do jadalni, gdzie gospodyni porządkowała srebro stołowe.

— Czy zna pani osobę nazwiskiem Astor, zamieszkującą willę w Alei Leśnej?

Beverley nastawiła uszu, a na twarzy jej pojawił się prowokacyjny uśmieszek. Virginia ciągnęła dalej:

— Mój dziadek zapisał jej fortepian i nuty.

— Ah, tak, spodziewałam się tego! Proszę mi wybaczyć, miss Virginio, milczałam przez szacunek, ale tego już za wiele! myśleć o niej nawet po śmierci! Wolę pani powiedzieć prawdę, miss Virginio,

choćby to było równie przykre dla pani, jak dla mnie, a znoszę to od tak dawna!

A więc, dziadek pani był gentlemanem dobrze wychowanym i w ogóle... ale mimo to był jedynie mężczyzną, to znaczy — gorzej, niż nieczym!

— Beverley! — zawołała Wirginia — czy pani oszalała, by tak się wyrażać?

— Oszalałam? O, nie! Mam tylko dobre oczy, które przemykam przez przywiązanie. Teraz pani pyta mnie, kim jest miss Astor, odpowiadam więc, że była jego... współniczką w złem.

— Jego współniczką w złem?

Beverley zacisnęła wargi do tego stopnia, że usta jej stały się podobne do wąskiej szramy. Wreszcie westchnęła głęboko i zaczęła mówić:

— Jego współniczką, wszyscy tak mówią. Wyrażając się dokładnie, była w swoim czasie jego kochanką. Minęło już dwadzieścia pięć lat, od czasu, gdy objęłam służbę u sir Geralda, miał wtedy sześćdziesiątkę, był bardzo aktywny wówczas, podróżował na prawo i lewo. Pewnego dnia miss Astor przybyła tutaj; była o pięć, lub sześć lat młodsza od niego i jeszcze piękna! Gdy obsługiwałam przy herbacie, dowiedziałam się, że spędziła poprzednią zimę na Riwierze Francuskiej, gdzie i on bawił. Ona wymieniała ciągle kraje, które poznali wspólnie w młodości: Austrię, Włochy, Rosję i jakieś inne. Miss Astor powiedziała także, że chciałaby kupić małą posiadłość i ustalić się. Następnie siadła przed pianinem i zagrała jakąś melodię nucąc pieśń kompletnie dziwaczną, do niczego niepodobną: to było podniecające!

W jakiś czas później zainstalowała się w „Cedrach” i przez jej służącą dowiedziałam się, kim ona jest: kabotynką, śpiewaczką —



wielką śpiewaczką, mówiła pokojówka — też rodzaj grzesznicy! Na szczęście, nie widywałam jej tu często, ale „on” chodził do niej przynajmniej raz na tydzień. W ostatnich czasach miał bronchit i w ogóle nie wychodził, a więc ona przysyłała pokojówkę po wiadomości... Ta historia, miss Wirginio, nie była dla nikogo tajemnicą, w każdym sklepiu mówiono o niej. Jednakże są ludzie, jak na przykład listonosz, lub malarz pokojowy, którzy mają swobodniejsze poglądy. Mawiali oni w ten sposób: „No, dobrze, i o cóż chodzi? Już lata minęły, jak to się skończyło! Należy przypuszczać, że kochali się niegdyś czule, jeśli dziś jeszcze są tak dobrymi przyjaciółmi. On był wdowcem, miał prawo zawiązać stosunki z kobietą, wielką śpiewaczką. Cóż mogło być bardziej eleganckiego? Nie uczynił nic złego i niechże mu dadzą spokój!” Lecz ja, kochana pani, mam inny pogląd na tę sprawę. A to dla tego, że wiem, co to jest serce i wierność. Wiadomo, że mężczyźni mają diabła za skórą, sir Gerald mógł sobie doskonale mieć w swoim czasie kochankę, to mi jest obojętne, ale

wobec tego nie powinien powtarzać cały boży dzień imienia swojej Alicji, „jedynej kobiety w jego życiu”!

Tak, miss Wirginio, to jest zdrada i hipokryzja!”

Wirginia nie odpowiedziała. Zdawała się gdzieś daleko błędzić myślą. Jej ściągała czysta twarz, o wydłużonych rysach, miała wyraz dziecięcego cierpienia, zmarszczka w kącikach ust zdradzała zniechęcenie. Całe nieszczęście w tym, że Beverley miała rację. Wirginia nie mogła potępić opinii gospodyni. Zdrada? Być może. Hipokryzja — napewno! Jeśli by nie miał czego ukrywać, czemuż nie mówił nigdy o miss Astor ze swą wnuczką, czemuż unikał składania jej wizyt, gdy Wirginia bawiła tutaj? Każde z tych pytań podważało logikę jego postępowania. Ohraz Alicji, pamiętki, jakie po niej zostały, jej czar, jej cnoty, ta stałość i ten żal, które czyniły ją tak potężną, ideał, który Wirginia kochała wszystko to miało być komedią... Ponurą komedią, wynikiem której — wcześniej, czy później będzie gorzkie i rozczarowanie, jak się to dzieje w życiu większości ludzi. Wirginia sądziła, że Everest jest niezdolny do małostkowości i fałszu. Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób, będąc według wszelkiego prawdopodobieństwa związany z miss Astor, mógł pozwolić na fikcję swej miłości dla Alicji, wyolbrzymiać swą duchową wierność, zdradzać w pewnych chwilach rozpacz jeszcze tak żywą. „Czyż Alicja służyła mu za pretekst, by mógł ukrywać dawny związek, który pragnął osłonić tajemnicą?” — myślała Wirginia.

Zadne tłumaczenie nie mogło być przekonujące. Wirginia bardziej niż kiedykolwiek gubiła się w tajemniczości tego życia i jej błakanie się nie doprowadziło do niczego.

— Beverley, rzekła wreszcie, czy

miss Astor to staruszka o bardzo czarnych oczach, która musiała niegdyś być typem południowej piękności?

— Tak, to właśnie ona. Czyżby miała czelność zagadnąć panią?

— Nie, tylko widziałam ją dziś na dworcu.

— Ona wcale nie wychodzi z domu, lecz w dniu pogrzebu była w kościele i płakała.

— Przynajmniej do tego każdy z nas ma prawo — rzekła Wirginia.

Ton tych słów wyraźnie wskazywał na koniec rozmowy.

Wiedząc już, że nie należy zbyt pochopnie ufać faktom, jak tego uczy życie, miss Everest walczyła jeszcze, by ratować swą dobrą wiarę. Nie jest rzeczą niemożliwą, by ktoś kochał dwie kobiety na raz — jedną żyjącą i drugą zmarłą, lecz nie człowiek w rodzaju Geralda Everesta, o którym Wirginia wiedziała, że był podobnie jak ona sama, szalenie wyłączny, nieprzejednany, zamknięty w sobie. Noc pomazała szyby sadzą. Miasto zasnęło. Wirginia zasiadła się w „muzeum”. Przeszukała szafę, zawierającą pewne przedmioty, które należały do Alicji: neseser z przyrządami do szycia, puderniczkę, książki, mszał, do którego ta katoliczka Irlandka musiała często zaglądać. Wirginia otworzyła mszał w miejscu, gdzie kartka była zagięta. Przeczytała długą lamentację z psalmów pokuty, i dostrzegła wyraźnie ślad paznokcia, podkreślający ten werset.

„Gdy rozpoznam swój występki — grzech mój zawsze stoi przedemną”.

Stronica była przesycona wonią tabaki. Niewątpliwie Everest był pod wrażeniem tego wyznania pełnego trwogi i wyrzutów sumienia. Wirginia powtórzyła je cichym głosem. Mój występki... Czy słowa te wniknęły w myśl Everesta? Wir-

ginia poczuła zawrót głowy, jak-gdyby zapadała w próżnię.

Nazajutrz po południu wybrała się na przechadzkę. Szła drogą asłaną bladymi kałużami, wilgotny wiatr przynosił woń zgniłej trawy i ziemi. Drzewa sterczały w swej sztywnej nagości wzdłuż opustoszałych łąk. Na skraju lasu kruki wzywały nadechodzącą zimę. Wirginia pod wrażeniem tego smutku, tego upadku natury, bliskiego śmierci, zmęczona daremnem błędzeniem w ciemności, powzięła nagle decyzję i skierowała się na drogę, prowadzącą do domu miss Astor. Zadzwoiła do bramy, za którą szezekał dla zachowania pozorów mały żółty piesek, przeczornie cofający się, by utrzymać należytą odległość. Przysadzista wiciśniaczka wpuściła miss Wirginię do ogrodu.

— Nie wiem, czy miss Astor jest w domu — rzekła głupkowato.

— Miss Astor napewno będzie, jeśli powiecie moje nazwisko — odparła z naciskiem Wirginia.

W kilka chwil potem wchodziła

do salonu, a za nią żółty piesek. Pokójumeblowany w stylu końca osiemnastego wieku, ozdobiony chińskimi wazami i przedmiotami z laki, miał w sobie coś z intymnego wdzięku. Miss Astor wyszła na przeciw młodej panny swym zmęczonym, ociężałym krokiem.

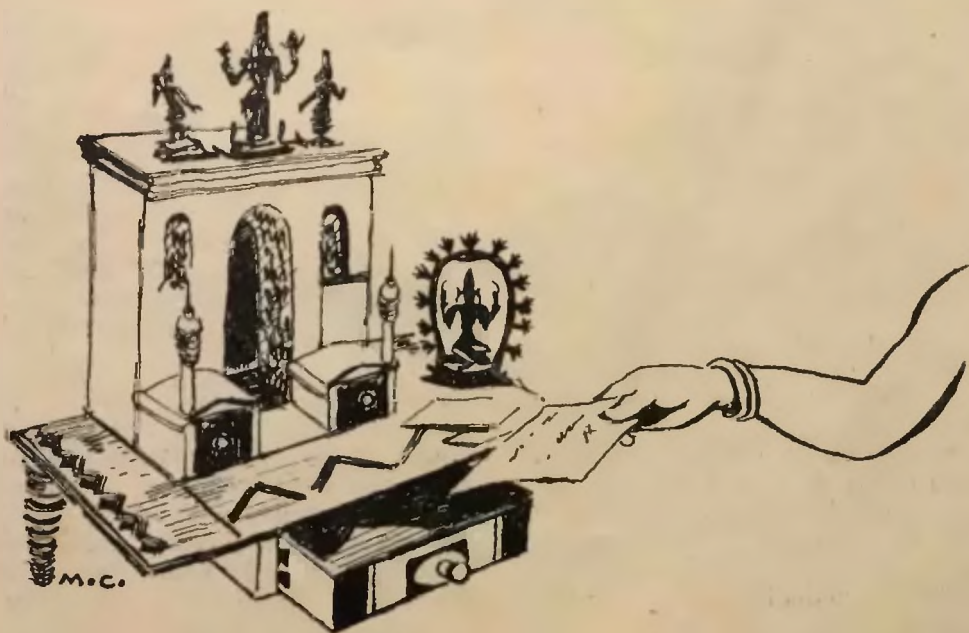
— Jest pani zbyt dobra, miss Everest, że pomyślała pani o złożeniu mi wizyty.

Mówiła śpiewnym, kreolskim akcentem. Wirginia odczuła w tonie jej słów nieokreślone wzruszenie.

— Przeciwnie, miss Astor, proszę o wybaczenie, że przeszkadzam pani. Chodzi o niewielką rzecz: dziadek zapisał pani pianino i wszystko to, co ma związek z muzyką. Czy zechce pani przysłać po to ludzi?

Głos Wirginii zdradzał jej skrepowanie i szczególne podniecenie nerwowe. Miss Astor przyglądała się jej w milczeniu, niezdecydowana....

— Czy pani jest zgorszona tym zapisem? — rzekła wreszcie. Na-



stępnie, wyciągając nagle rękę, by pochwycić dłoń Wirginii, dodała:

— Wirginio, nie wierzy chyba pani tym bezsensownym plotkom, które w okolicy opowiadano o nas — o Geraldzie i o mnie?

— Tak, do pewnego stopnia uwierzyłam im i cierpię nad tym, że nic nie rozumiem.

Podniosła oczy na starą kobietę:

— A więc kim pani była dla niego? Dziwny uśmiech wyrzeźbił nowe brózdki w kącikach ust miss Astor.

— Wirginio, rzekła, czy słyszała pani coś o Jhansi? Jest to miasto w środkowych Indiach, gdzie Gerald pełnił obowiązki oficera w 1857 r.

Wirginia słuchała tego głosu zmęczonego, łagodnego, prawie gasnącego chwilami, opisującego dramat dawno minionych dni.

Gerald Everest miał dwadzieścia pięć lat. Był porucznikiem i miał się właśnie ożenić w Europie. Alicja, którą ubóstwiał, była uroczą, trochę jeszcze dziecinna. Indie były dla niej niby scena teatralna, nie wyobrażała sobie, że ta romantyczna dekoracja w pewnych warunkach może zamienić się w piekło. Była wprost pijana szczęściem i zdziwieniem wobec wszystkiego. Everest zajmował swe stanowisko od kilku tygodni, gdy pewien oficer, któremu powierzono wywiad w sprawie lojalności tubylezych władców w centralnych i północno-wschodnich prowincjach, kapitan Bruce, zainstalował się na pewien czas w Jhansi. Ten wysoki młodziak, opalony, raczej brzydki, zuchwały, często beceremonialny, miał opinię zdobywcy serc niewieścich. Pysznił się, że posiada duszę awanturnika, zdobywcy i szaleńca. Jego lojalność była bez skazy. Everest oceniał go zarówno jako dobrego towarzysza, jak i zwierzechnika.

Bruce spędzał często wieczory u

Everestów. Nie był przyzwyczajony do kobiet w rodzaju Alicji, ona była trochę oszłomiona jego pewnością siebie, przyjacielskim i poufałym sposobem bycia, na jaki sobie pozwalał. Aby zdać raport ze swej misji, wyjechał do Lahory, poczem powrócił po dwóch miesiącach. Wtedy właśnie na Indie spadła nagle bezprzykładna klęska. Wybuchła zażarta niełudzka i nie znająca litości wojna. Większość tubylezych oddziałów powstała przeciw kolonizatorom. To powstanie zwane „buntem spahisów“, dawało pole do niesłychanych okrucieństw ze strony rebeliantów, straszliwe okropności i masakry odznaczały się niebywałym sadyzmem. W każdej miejscowości, jak kraj długi i szeroki, wybuchały nowe płomienie. Everest i Bruce nie mieli do pomocy ani jednego Europejczyka, jedynie oddział spahisów — tubylezych żołnierzy — którymi właśnie dowodził Gerald. Epidemia zdrady dotarła do Jhansi. Everest, dostrzegłszy u swych ludzi wyraźne oznaki buntu, udał się do Bruce'a.

— Bandy zrewoltowanych włóczęgów chcą się połączyć z moimi spahisami — rzekł. Wkrótce my dwaj będziemy mieli przeciw sobie setki tych szaleńców. Co jest w tej chwili naszym obowiązkiem?

— Po prostu dać się zabić, lecz nie pozwolić sobie poderżnąć gardła jak bydłu. Brońmy się w imię honoru. Niedaleko stąd znajduje się stara wieża... Zabarykadujemy się w niej i usiłujmy się bronić jak najdłużej.

Na nieszczęście, między tymi dwoma ludźmi stała Alicja. Zarówno Everest, jak i Bruce świadomi byli losu, grożącego kobietom ze strony buntowników. Pysznili się oni tym, że przede wszystkim napadają na kobiety, ponieważ wiedzieli, że ranią tym serca męż-

czyzn i sądzili, że osłabia tym ich opór.

W wieży, za ceglanymi murami, rozpalonymi upałem, wlokły się nieskończenie śmiertelne godziny. znaczące etapy rozpaczliwej obrony. Na zewnątrz spahisi wyli pod adresem Everest:

— Używaj sobie dowoli swych granatów i tak się dobierzemy do twojej skóry!

Bruce'a, ale twoja żona dostanie się pierwsza w nasze ręce, najlepiej się nią podzielimy!

Okrzyki te były bardzo wymowne. Bruce odwrócił się do swego towarzysza i popatrzył na niego bez słowa. Nie mieli już więcej amunicji. Everest przyglądał się uporczywie kapitonowi, zajętemu wyciąganiem worków z piaskiem wypełniających otwór, prowadzący na balkon, który okrażał wieżę i stanowiących zaporę przed strzałami rebeliantów. Na niższym piętrze wyjąca horda wywalala drzwi. Walka była przegrana dla obu mężczyzn i ich towarzyszek. Z obłąkanym wzrokiem Everest pochylił się ku żonie i klęcząc na podłodze podniósł ją; otaczając lewym ramieniem. Prawa jego ręka ścisnęła rewolwer. Ciało Alicji, wyczerpane strachem, osłabione, poddało mu się biernie. Everest ścisnął ją gwałtownie. Jak lalka z trocin osunęła się nagle do jego stóp. Strzelił jej w skroń, nie chcąc żeby dostała się żywa w ręce buntowników. Stojąc na balkonie, Bruce uczynił z siebie cel dla strzałów spahisów. Everest nabił ponownie swój rewolwer. W chwili, gdy podnosił go ku swej skroni, kula przeszła mu ramię. Rebelianci wdzierali się do wieży i w kilka minut potem kolbami karabinów pokonał swego dawnego porucznika.

Pozostawiono Everest'a jako nieżyjącego. Pewien agent radży Jhind, wieczny sojusznik anglików, który często dostarczał Bruce'owi



cennych informacji, dowiadywał się o los obu oficerów. Odnalazł Everest'a w malignie między trupami Alicji i Bruce'a i przetransportował go stamtąd z wielkimi ostrożnościami. Śmierć spletała Everestowi złośliwego figla, wzgardziwszy nim. Po tygodniach nieprzytomności, gorączki, osłabienia i po następnych tygodniach rekonwalescencji przyszedł całkowicie do siebie w chwili, gdy Anglia mając prawo sądzić, że straciła Indie, odniosła pod Delhi drogę okupione

zwycięstwo. Bunt został uśmierzony. Jednak ten powrót do świadomości stał się dla Everesta początkiem nowego dramatu; nie mógł pogodzić się z myślą, że żyje, chociaż Alicja odeszła na zawsze, zabita przez niego. W dodatku agent radży znalazł w Jhansi przy ciele Bruce'a pewne drobiazgi, które oddał Everestowi: zegarek, jakąś maskotkę tybetańską, drobną sumę pieniędzy i dwa listy do kobiety. Ponieważ adres nie był dość dokładny, Everest sądził, że czytając listy znajdzie odpowiednie wskazówki, by móc je doręczyć. Znalazł w nich tylko gorące słowa miłości skierowane do Alicji:

„Kocham Cię, Alicjo, żadnej kobiecie nie udało się tak mnie porwać, jak Tobie. Szaleję, gdy marzę o Tobie! To jest olśnienie, prawdziwy „grom z jasnego nieba“... Odpowiedz mi, Alicjo, pomyśl o mnie, jestem zazdrosny...”

Reszta była w tym samym stylu. Gerald sądził, że on także oszaleje. W jego oczach rozwiązanie zagadki było zbyt proste.

Bruce był namiętnie zakochany w Alicji. Jakież były jego uczucia dla niej? A ona, czy nie była pod urokiem tego zdobywcy, tego zawodowego miłośnika? W wielkiej rozterce ducha Everest udał się do Jhansi z oddziałami angielskimi, które szły zdobyć to miasto, będące jeszcze w rękach buntowników.

Gdyby zdobyto tę placówkę po miesiącu oporu, agent radży towarzyszył Geraldowi do grobu Alicji i objaśnił:

— Miasto było w rękach powstańców, trzeba było działać szybko.

Mój służący wykopał tylko jedną mogiłę dla obojga.

Alicja i Bruce, zostali więc pochowani razem, złączeni po śmierci, a on, Everest, pozostał przy życiu, jak intruz. Jego wątpliwości spletały go niby siecią, w której

miał się uwieźć — zabił Alicję niewątpliwie wskutek konieczności i wbrew swej woli przeżył ją, aby doznać udręczeń wobec tego nierozwiązalnego problemu: czy Alicja kochała Bruce'a, czy zdradzała z nim jego, Geralda?

Z początkiem 1859 roku po ostatecznym pokonaniu powstańców, Everest musiał z powrotem objąć swe stanowisko w Jhansi. Pił wtedy butelkę whisky dziennie, jeździł w snach, zdawało się, że ulegnie atakom białej gorączki. Pewnego dnia miejscowy handlarz koni przyszedł do niego w sprawie chorego konia. Był to gadatliwy człowiek; zaczął się rozwodzić nad skutkami niedawnego buntu:

— Ah, Sahib, tyle ludzi wylewało łzy... Ta nieszczęsna Alicja Grey, wyczekująca w Lahore listów, które Sahib Bruce przeze mnie jej posyłał!

Everest doznał olśnienia. Kobieci, którą kochał Bruce mieszkała w Lahore. Tamta Alicja — Alicja Grey — nie miała nic wspólnego z Alicją Everest. Handlarz, przygodny szpieg na usługach Anglii, znał adres miss Grey, miał wiadomości o jej pochodzeniu i stosunkach. Była to kreolka, wspaniała dziewiętnastoletnia istota, należąca do dość postępowego środowiska. Przed powstaniem mieszkała ze swą ciotką i pragnęła wstąpić na scenę.

Everest pierwszym kurierem jechał do Lahore. Odczuwał potrzebę rozmowy z Alicją Grey, pragnął usłyszeć z jej ust potwierdzenie, że to ją właśnie kochał Bruce. Nie odnalazł jej jednak. Wkrótce po wojnie opuściła Indie. Miała piękny głos i pragnęła spróbować swych sił w Europie.

Uwolniwszy się ze swych wątpliwości, Everest starał się nie myśleć o niczym innym poza dramatem, jaki ściągnęła na kraj wojna. Nie mógł jednak tego osiągnąć.

Klimat, atmosfera Indyj, miały od tej pory zbyt wielką władzę nad nim. Zdarzało mu się, że mieszał obie Alicje, że zadawał sobie pytanie, czy Alicja Grey, nie była mitem, wytworem jego wyobraźni. Potrzebny mu był materialny dowód, odtrutka, realna obecność Alicji Grey. Złożył swą dymisję, udał się do Europy, do Anglii, Francji, uparł się odnaleźć tę, której „udało się oczarować Bruce’a”. Napróżno błądził za kulisami teatrów, włóczył się po nocnych lokalach...

W 1865 roku powierzono mu misję dyplomatyczną w Rosji. W czasie pewnego widowiska, między tańcem apaszów a cygańskimi romansami, zaanonsowano angielską artystkę, która odbywając swe tournée, zbierała obecnie okłaski w Petersburgu; miała ona odśpiewać różne arie ze swego stałego repertuaru. Była to wysoka brunetka, bardzo rasowa, efektowna, o głębokim tonie głosu.

Śpiewała z uczuciem kreolskie pieśni, w tęsknym, kołyszącym rytmie. W końcu oznajmiła:

— Na zakończenie odśpiewam ulubioną pieśń, bardzo mało znaną — jest to indyjski poemat miłosny, skomponowany niegdyś w Jhansi. Pozostał on niedokończony, za każdym razem więc mogę zaimprovizować koniec.

Śluchając go, wzburzony Everest zrozumiał, że Alicja Astor była Alicją Grey, która przybrała sobie pseudonim teatralny. Bruce musiał niegdyś w Lahore zapoznać ją z tym poematem miłosnym z Jhansi. Namiętny śpiew wyrażał cierpienia kobiety, rozłączonej ze swym ukochanym i wyczekującej go z nadzieją w sercu. Nadzieja ta gasła powoli:

„Teraz już wiem, że nie powrócisz, o moje życie,

Ponieważ padłeś pod ciosami
twoich nieprzyjaciół...

BÓLE

ARTRETYCZNE REUMATYCZNE PODAGRYCZNE

najwięcej dokuczają na zmianę pogody, w czasie zimna, słoty i niepogody. Nieznosnymi wtedy stają się bóle w stawach, kościach, mięśniach, powstają bolesne obrzmienia, chodzenie, a nawet poruszanie się bywa utrudnione. Cierpienia te powstają skutkiem nagromadzenia się kwasu moczowego w ustroju i jeżeli nie będą racjonalnie zwalczane, będą się zwiększać, aż wreszcie na stałe przykują do łóżka. W tych wypadkach stosuje się wewnątrzny lek „UREMOSAN“ GĄSECKIEGO, który rozpuszczając kwas moczowy w organizmie, wywołuje obfite wydzielanie się takowego wraz z moczem i współdziała z ustrojem w walce jego z artretyzmem, reumatyzmem, podagrą, ischiase, kamica nerkową oraz złą przemianą materii.

Oryginalny „UREMOSAN“ GĄSECKIEGO
do nabycia w aptekach

Serce moje spłonęło na stosie
zmarłych,

A prochy wiatr rozwiął wokoło...”

Mimo, że utrzymane w tonie orientальnym, ostatnie wersety były improwizacją. Dł tej chwili egzystencja Everesta uległa zmianie, a tym samym i Alicji Aster. Gdziekolwiek się znajdowała, zawsze była gotowa powtarzać mu, że Bruce wyłącznie ją kochał i, że nie raz dawał jej jako przykład doskonałego małżeństwa — Alicję i Geralda Everestów. W dalszym ciągu odbywała ona swe tournée po Europie, zbierając hołdy i przyjmując od czasu do czasu w Wiedniu, Nicei, czy Florencji — wizyty Geralda Everesta, który uległszy smutkowi w swej samotności, pragnął znów zobaczyć jedyną istotę, znającą jego wewnętrzny dramat i usłyszeć znowu miłosną pieśń z Jhansi. Nigdy w Alicji, ani w nim

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu itp. stosują pp. lekarze „Balsam Tricolan Age” (dawniejsza nazwa „Balsam Thicolan Age”), który ułatwia wydzielanie się plwociny, zmniejsza kaszel.

nie obudziło się inne uczucie prócz wzajemnej przyjaźni. Serce Everest’a również „splonęło na stosie zmarłych”... Lecz te dwie istoty związane były duchowo. Tak też było, gdy byli już oboje starzy. Alicja Astar w dalszym ciągu podtrzymywała nieskazitelne, wierne wspomnienie tej drugiej Alicji...

— Obecnie, rzekła miss Astor do Wirginii — dramat Everest’a, cierpienia, ból z powodu zabójstwa — wszystko to zbladło. Nienawidził wojny, która zniszczyła jego życie i musiał umierać szczęśliwy, ponieważ doczekał się jej końca.

Głos miss Astor ochrypl, zmęczony. Kobieta, którą kochał Bruce, ta, która zbierała hołdy w całej Europie, siedziała wtulona w swój fotel

w pobliżu kominka, ze swym pieskiem na kolanach. Wirginia podniosła się, podeszła ku oknu. Chłodny deszcz listopadowy zostawiał ślady lez na szybach. Na moment młoda dziewczyna wyobraziła sobie cienie, które w ostatniej jego godzinie otaczały Everest’a — twarze zamglone, wywołujące wspomnienie zwiędłych miłości, rytm walców, szaleństwo przygód, koszmarny upałnych nocy, woń Azji, obsesję tej pieśni kołyszącej, tęsknej i czułej — niedokończony poemat miłości... Jakże to życie, mimo swej tragicznej barwy, zdawało się bogate w porównaniu z pospolitą, suchą, pozbawioną uroku egzystencją jaką przypada w udziale większości ludzi w naszych czasach! Wirginia, aby powrócić do sił, odczuwał jeszcze potrzebę marzenia i, zwracając się do tej, która tak długo była strażniczką kultu Alicji Everest, spytała:

— Mis Astor, czy pozwoli pani, odwiedzać się często?

JACQUELINE MARENIS

Z francuskiego przetłumaczyła

K. J. Łisicka

Ilustr. M. Ciąglińskiej



80 LAT PRZYJAŹNI PISMA i CZYTELNIKA

OJCOWIE NASI CZYTALI

Tygodnik Ilustrowany

i MY CZYTAMY

Tygodnik Ilustrowany

zmodernizowane, współczesne czasopismo
o wysokim poziomie tekstowym
i ilustracyjnym.

Współpraca najlepszych polskich piór publi-
cystycznych literackich i naukowych.

oraz dodatki

Naokoło Świata

jedyny w Polsce magazyn nowelistyczny

i

Bibliotekę Powieściową

co miesiąc nowość literacka orygín. i prze-
kład — cena sprzedażna naszego dodatku
powieściowego w księgarniach wynosi od
7 — 9 zł. za 1 tom.

Prenumerata łączna za ledwie 6 (sześć zł.) miesięcznie.

Tradycje świetnej przeszłości, historii, kultury oraz obraz
postępu Polski współczesnej i Świata.

Oto program redakcyjny najstarszej ilustracji polskiej:

„TYGODNIA ILUSTROWANEGO” 80 rok istnienia

Adres wydawnictwa: Warszawa, Zgoda 12. Telef. 604-14,
Administracji 522-14; Konto P.K.O. 143. — Kantor prenu-
meraty w księgarni Gebethnera i Wolffa — Warszawa,
Sienkiewicza 9.

Prenumeratę również przyjmują księgarnie Gebethnera i Wolffa:
w Warszawie, Krakowie, Łodzi, Poznaniu, Wilnie, Zakopanem,
oraz wszystkie inne księgarnie i oddziały Tow. „Ruch”

Żądanie numerów okazowych



Do najnowszego filmu Tobisu p. t. „Bel-amt” wg znanej powieści Maupassan’a zaangażowano kilkaset tancerek celem odтворzenia wykwintu i rozmachu ówczesnych scen Paryża.

Fot. Polski Tobis



Dinah Grace jest znaną tancerką i choć obecnie gra główną rolę w filmie Tobisu p. t. „Dowcipnisie” („Spassvögel”), nie zapomina o treningu, który przyczynia się do utrzymania jej linii

INTELIGEN

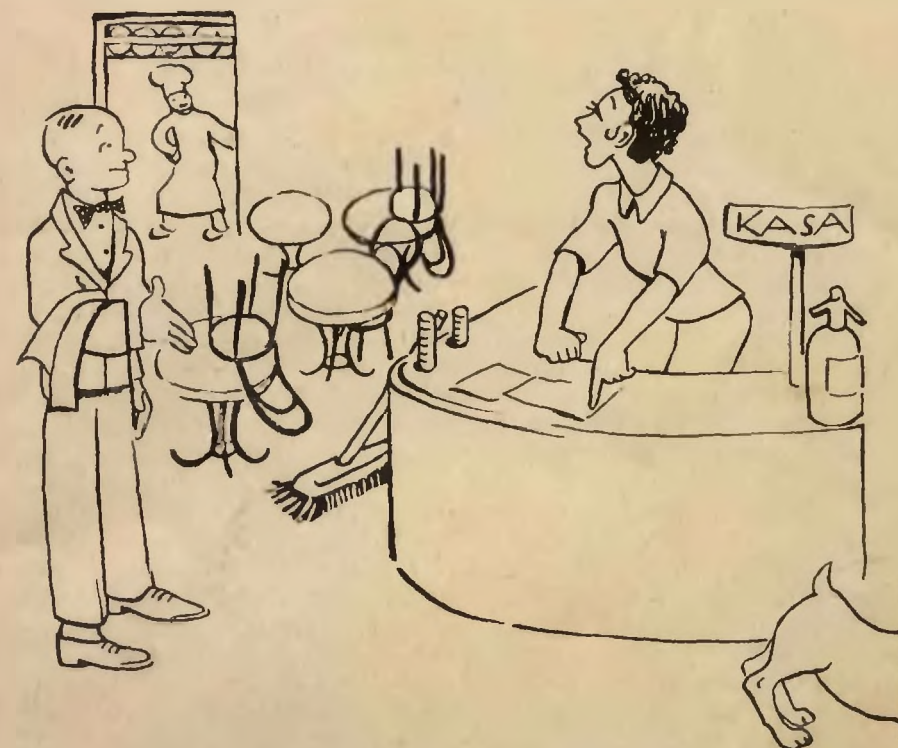


1. Pikuś udaje się po sprawunek

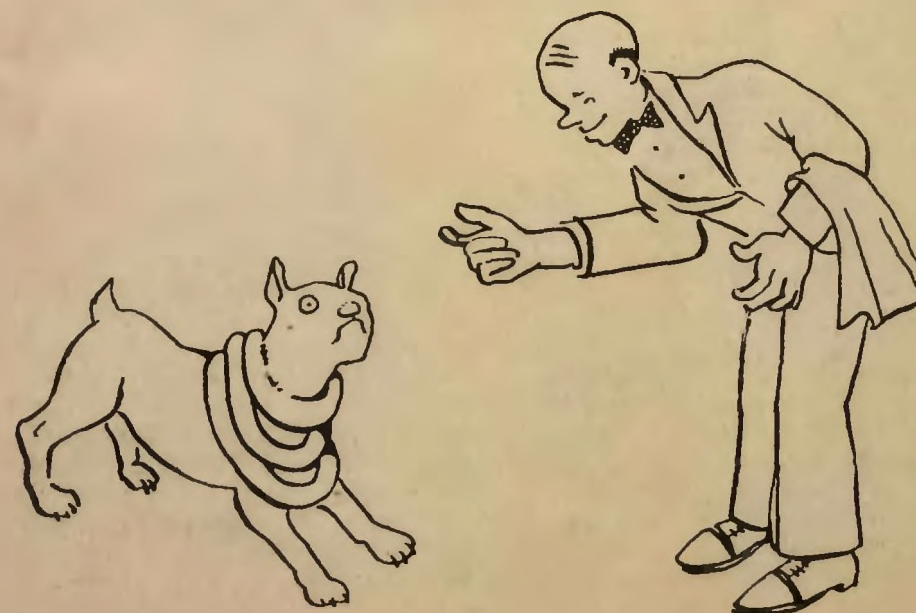


2. Jakież to mądre! — $\frac{1}{4}$ kg. pasztetowej dla Pana Pikuśa z przeciwnika!

TNY PIKUŚ



3. Odpowie mi pan za bilon, którego doliczyć się nie mogę.



M.C.

4. Pikuś! mam cię złodzieju! Odkąd to możesz pozwolić sobie na wianek krakowskiej kiełbasy?

Rysunki M. Cigpińskiej

„Swego nie znacie — cudze widzicie“

Przyjaciółka generała Mikołaja Iwanowicza Krestiakowa, dowódcy garnizonu jednego z południowych miast sowieckich, Irma Jęgorówna Mołodkinowa uświadomiła sobie w jedną bezsenłą noc, że padł na nią wyrok śmierci. Irma ma lat trzydzieści kilka, jest szczupłą, drobną, harmonijnie zbudowaną i elegancką, nie jest „piękna“ jest zaledwie ładna, wygląda bardzo młodo i śmieje się słicznie, prezentując świetne zęby, ale te szczegóły jej urody, nabierają niezwykłego wyrazu, dopiero w połączeniu z emanującym z niej całej, dziwnym urokiem, czyniącym ją, niezapomnianą mężczyźnie, którego ona kocha; może urok ten płynie, właśnie z jej miłości, a może, z harmonii dobra i światła, którym ogrzewa kochanego człowieka. Ojciec Irmy był Rosjaninem, a matka Polką, nie żyją oboje oddawna. Irma wyrastała jak kwiat na bagnie, polskość jej matki była dla niej bezbarwnym i bez treści wyrazem, zachowała w duszy, tylko miłosiernego, polskiego Boga swej matki. Przed wyjściem za mąż nazywała się Gołowow, teraz jest Mołodkinową, rozwódka, urzędniczką w fabryce prochu, zakochaną do szaleństwa w niezwykłym bolszewiku, generale Krestiakowie.

Generała poznała na jakimś bankiecie, i płomień, owej cudownej, wielkiej miłości, który wybucha od jednego błysku oczu i trawi życie już do końca, porwał ich oboje, od pierwszego wejrzenia. Ów generał starszy od Irmy tylko trzy miesiące, ma średni wzrost, jest silnym, typowym żołnierzem, o doskonale rozwiniętym ciele i o jasnej, otwar-

tej twarzy. Jego niebieskie, o granatowym odcieniu oczy, patrzą zwykle, jakby daleko, po za otaczającego go świat, a tylko w momentach niezwykłych, zapalają się niepokonaną siłą. Lekko przerzedzone nad czołem włosy i nieco siwizny na skroniach, pogłębia powagę jego urodę, jest małomówny, zamknięty w sobie, operuje krótkimi zdaniami, o treści skondensowanej i posługuje się gestem, ilustrującym obrazowo i nakazująco słowa. Irma, która ma poczucie humoru, zaprawionego złośliwością, bez żółci i zdolnością trafnego, podpatrywania słabostek ludzkich, opowiada mu czasem swawolne anegdotki, do których generał uśmiecha się nagle i pobłażliwie, nie śmieje się bowiem prawie nigdy głośno, tylko właśnie takim uśmiechem nagłym i szybkim gasnącym.

Krestiakow interesuje się głęboko sprawą ludu, krajem i życiem swego miasta, a kraj i miasto grzęzną w bezładzie, w bezkarność, w trawiącym śmiertelnie zaduchu korupcji... głód, nędza, donosicielstwo, ekspedycje karne, egzekucje, to chleb ludu... Natomiast w restauracjach, kabaretach, zakonspirowanych spelunkach, a w letnie upalne noce w miejskich ogrodach, otoczonych białymi, wysokimi murami, zamykającymi do nich dostęp niepowołanym, kwitnie rozkosz; gra muzyka, leje się szampan, dźwięki o jaskrawo karminowanych ustach jęczą wyuzdane przeboje. Te przybytki rozkoszy zapelniają wyżsi urzędnicy „czeki“, oficerowie, dyrektorowie fabryk, działacze społeczni wszelkiego gatunku, ci sami, którzy redagują wielkie, patetyczne

hasła, nakazujące ludowi ponosić najcięższe ofiary dla idei, znosić cierpliwie głód i nędzę...

Krestiakow stara się chwycić życie na gorącym uczynku; często w nocy, w nędznym, cywilnym ubraniu, udając pijanego, chodzi po mieście, brata się z ludem, dowiaduje się rzeczy strasznych i widzi prawdę własnymi oczami... Na skwerach, wzdłuż Prospektu Mikołajewskiego, obok leżących tam zdechłych kotów, pokładają się pijani żołnierze i robociarze z małymi, wynędzniałymi prostytutkami. Pod murami „ogrodów rozkoszy” stoją głodni ludzie i rzucają plugawe krzyki pod adresem uczujących... Co pewien czas przechodzi patrol policyjny i z okrucieństwem tępej, mechanicznej siły zmiata „śmiecie”, które narastają na nowo, natychmiast...

W takich momentach jasna twarz generała zasępia się, a w oczach jego zapala się zawzięta siła... Krestiakow jest ideowcem o czystych obyczajach; surowym życiem i czynem wyznaje ideę, jakkolwiek widzi ją w formie, nie mającej nic wspólnego z komunizmem, od dawna bowiem przeniknął istotę komunizmu i wie, że nie można zabić w człowieku pędu do posiadania, że odbierając mu zdrową, uczciwą możliwość gromadzenia dóbr ziemskich, odbiera się mu radość życia, że jest absurdem usiłowanie podzielenia spraw człowieka, na równe co do milimetra działki, i że system komunistyczny zmienia tylko role i tam gdzie są uciskani, czyni ich uciskającymi... On wierzy w odrodzenie człowieka przez poznanowanie jego indywidualności, uszlachetnienie ducha braterską miłością... w rozumnym, sprawiedliwym podziale dóbr społecznych, którego podstawą musi być równość i prawdziwa troska o dobro jednostki; skasowanie wyzysku i żerującego na nim pądnobrobytu uprzywilejowanych... lecz wprzągl

się w system w zapale i zaślepieniu, a z tego systemu nie ma odwrotu, chyba śmierć...

Oficerowie boją się generała, jednostki wartościowe, które go przenikają, czeżą go, żołnierze go ubóstwiają... a on żyje pragnieniem służenia dobru ludu i układa szalone plany oczyszczenia choć na razie tylko swego miasta. Właśnie w czasie, gdy dojrzewały w nim te plany, zakochał się w Irinie i w niej znalazł wspaniałego, ożywiającego jego idee, ducha... Inteligentna, bystra, czytana Irina, pomaga mu w tajnej pracy. Po nocach miłosnych, szalonych od upajających niezaznawanych przez uprawiaczy rzemiosła miłości, pieczętował miłości wielkiej, porywającej ciało i duszę, pulsującej we krwi, w żyłach, w myślach, w oddechu, w dotyku, w radości, w smutku, w tęsknocie, w oddaleniu i bliskości, przychodziły dnie, które oddawali oboje całkowicie pracy nad sprawą; będzie to notowanie relacji o nadużyciach, precyzowanie spostrzeżeń własnych, sumienne wnikanie w tysiące nadsyłanych skarg, anonimów itp... Tej jedynej kobiecie można powierzyć najtrudniejsze sprawy; załatwi je nieomyślnie, wnioski będą trafne, rzeczowe i sprawiedliwe. Pracują oboje w galinie prywatnego mieszkania generała. Czasem Irina odrywa oczy od papierów i patrzy z uśmiechem na ukochanego i otrzymuje w odpowiedzi uśmiech... czasem podpiera głowę dłonią i opowiada głosem drgającym oburzeniem.

— Wiesz Kolenka, wczoraj znowu szaleli w tym drewniaku koło nas, u tego robociarza z fabryki pocisków, zaczęło się w ubezpieczalni gdy kobiecie dla dziecka chorującego na gruźlicę, zaordynowali wyjazd na wieś... dostała ataku szału z rozpacz: „za co wyjedzie, gdy na łyżkę mleka nie ma” „wy morderey” krzychała, zbił ją tam poli-

ejant, a gdy przywieźli ją do domu, wtedy, z kolei wpadł w furję jej mąż; wyrzeszczał wszystko co myśli o tym „parszywym reżimie” itp., doniesiono, oczywiście, zbili go niełudzko i zabrali, wątpię czy dowloką żywego... Opiekuję się dzieckiem! Och! Kolenka, to straszne!

General wyjmując z portfela banknot i podaje w mileczeniu; podziękowanie; długi pocałunek...

— O! Kola, gdybyśmy mogli odmienić świat i z szakali uczynić ludzi o rozumiejących, współczujących sercach... Trzeba się spieszyć z tą czystką!

General decyduje się; jedzie do stolicy, do swej władzy. Po zdławieniu hydry ceremonii, dostał się przed oblicze dygnitarza. Ów były monter towarzyszył dygnitarz, o kwadratowej, z silnymi szczykami twarzy, o twardych bystrych oczach, ubrany wytwornie, pachnący zagraniczną wodą toaletową, sprężysty i giętki, który uczył się okiełzać życie, poczynając od alfabetu, jako wyrostek i dochodząc do wielostronnej, acz powierzchownej wiedzy, do sztuki ujarzmiania ludzi, jednym złym, niecierpliwym błyskiem oczu i do form zewnętrznych bez zarzutu, przyjął go i wysłuchał, chodząc po gabinecie. Krestiakow, który stał na baczność, widział dygnitarza wciąż z profilu... W pewnej chwili, były monter zatrzymał się na przeciw Krestiakowa i zapytał z naciskiem, tonem o akcentach znicierniowania:

Bierze pan towarzyszu generale całkowitą odpowiedzialność za konsekwencje tej akcji?

Krestiakow wyprostował się.

Całkowitą, aż do poniesienia śmierci — włącznie! — odpowiedział równym, pewnym głosem i uśmiechnął się, ale uśmiech jego nie został zauważony. Dygnitarz zbliżył się o krok i spojrzał zimno i przenikliwie w oczy Krestiakowa,

na mgnienie spojrzenie byłego montera zamigotało podziwem, a potem ostrą niechęcią:

— Ale oficjalnie ja nie znam tej sprawy! — rzekł twardo. — Róbcie więc jak chcecie, towarzyszu generale!

Cenil Krestiakowa, który przedkładał mu często znakomite wnioski... Niepowszednia, wyniosła uczciwość generała, bezinteresowność, surowość zasad stosowana w własnym życiu, bezkompromisowość, w sprawach budzących najłżejsze zastrzeżenia co do czystości i wierność, służyły niezawodnie dygnitarzowi, nieraz w ciężkich chwilach i dlatego nie śmiał reagować inaczej na sprawę tak bliską Krestiakowi, w której dostrzegł wielkie osobiste niebezpieczeństwo, dla tego, kto miałby odwagę „umoczyć w niej palce”.

Krestiakow wracał umocniony w decyzji, mimo, że w nacisku, którym dygnitarz zaakcentował swą neutralność, nie poczuł nic dobrego. Zaczął od garnizonu; wydał ostry nakaz, zabraniający oficerom uczęszczania do spelunek, kabaretów itp., następny rozkaz nakazywał opodatkowanie się wysokim szarżom, na rzecz ubogich miasta. Potem komisarz szef G. P. U., człowiek tehrzliwy, ale nie najgorszy, został wezwany przez generała w tajnej konferencji do współpracy. Rozpoczęła się bezwzględna wagonka na szkodników „sprawy ludu”. Unieważniono w granicach zasięgu lokalnego, różne dziko kwitnące, bezładne i barbarzyńskie ustawy, które obdarzały nadmiarem przywilejów tylko uprzywilejowanych i upoważniały do grabieżstwa dóbr społecznych. Obcięto fantastycznie wysokie dochody wyższym urzędnikom przedsiębiorstw miejscowego G. P. U. na rzecz niższych, wyzyskiwanych... Wprowadzano z odwagą, siłą i uporem w życie władców ceki, surowe, czyste obyczaje... Roz-

poczęto szereg procesów o nadużycia... Więzienia wypełniały się opornymi. Padł morowy strach na sfery niszczyielskie i bezkarne dotąd.

I w tym właśnie czasie, na Irmę Mołodkinową wydano tajny wyrok śmierci.

Krestiakow miał wśród oficerów wywiadu przyjaciela, pułkownika Michajła Michajłowicza Gronowa, człowieka wielkich zalet ducha i bardzo zdolnego, który chwycił każdy ścieg zrobiony najcieńszą igłą, na kanwie tego odcinka działań, który go interesował, poza tym Gronow słyszał zawsze „jak trawa rośnie”, od razu więc dowiedział się o spisku na Irmę i powiadomił o tym Krestiakowa. Niepisany ten raport brzmiał następująco: sfery możnowładze, ujarzmione przez Krestiakowa, wiedząc, że generał ubóstwia Mołodkinową, że żywi niewzruszony zamiar ożenienia się z nią (w natychmiastowym zawarciu małżeństwa przeszkadzały jakieś braki w osobistych papierach Irmy, które uzupełniał adwokat generała, o tym zresztą wiedzieli bliżsi znajomi obojga) zbadały dokładnie dane o pochodzeniu Irmy, o jej mentalności itp. i orzekły, że „niebezpiecznie sfiksowana” społeczniczka swoim wpływem rozgrzewa do białości idealizm generała i że, gdy ona zostanie usunięta, generał zmiażdżony nieszczęściem, przygaśnie.

Iрма, odkąd zaopiekował się nią Krestiakow, zajmowała niewielkie, komfortowe mieszkanie przy ul. Preobrażeńskiej i trzymała służącą, miłą dziewczynę, oddaną jej i żywiącą chęć pozostania w służbie u niej jak najdłużej. Nagle dziewczyna oświadczyła, że musi zaraz jechać na wieś do chorej matki, Iрма ustosunkowała się życzliwie do jej przykrej sytuacji i poszukała nowej służącej. I oto ta nieważna sprawa, stała się dziwna; każda nowa służąca odchodziła prawie natychmiast, podając mętne powody

zerwania umowy. Irmę zaniepokoiło to, zdecydowała się na największe ustępstwa, byle mieć spokój i — zaangażowała jeszcze jedną; towarzyszka Anna Iwanowna Pratz, około pięćdziesięcioletnia, otyła o dobroduszej twarzy i krowich bezbarwnych oczach (podająca się za pannę) pełniła służbę wzorowo i nie objawiała zamiaru odejścia. Iрма odzyskała dobre samopoczucie, gdy pewnej nocy obudziła się z dziwnym niepokojem w organizmie; czuła lekkie zdrętwienie kończyn, zawrót głowy i ostre pieczenie w żołądku, na razie zlekceważyła przypadłość, lecz gdy się powtórzyły, poszła do lekarza. W połowie trwania badania, lekarza odwołano do telefonu, po czym pokojówka oświadczyła, że lekarz musi wyjść, przeprasza i prosi, żeby Iрма pofatygowała się następnego dnia.

Iрма doznała objawienia; kontrojąc wypadki doszła drogą dedukcji do planu spisku i zaczęła bać się swojej służącej, przedsięwzięła wszystkie możliwe środki ostrożności i postanowiła jak najprędzej powiedzieć o tym Krestiakowi. Generał właśnie wtedy został ostrzeżony przez Gronowa i układał z nim gorączkowo plan ratunku dla niej. Tego dnia, w którym nastąpił incydent z lekarzem, Iрма miała dopiero wieczorem spotkać się z generałem na kolacji w „Hotelu Francuskim”. Gdy przyszła generał już był... Niewielka, sala restauracji technicznie czysto hurzuażyjną atmosferą; muzyka gra wiedeńskie i angielskie walec. Towarzystwo składa się z oficerów wyższych szarż i cudzoziemców. Szumi gwar dyskretnych rozmów, pachną kwiaty, perfumy i dobrze przyrządzone potrawy... Iрма i generał siedzą na uboczu, on nosi cywilne ubranie, ona ładna i elegancka zwraca na siebie spojrzenia mężczyzn, ale dla niej nie istnieje świat, poza nim, oboje są zajęci wyłącznie sobą; oczy ich

znajdują jedyne źródło radości, gdy patrzą na siebie, nawzajem, przypadkowe dotknięcia rąk, zamieniają na szybką, gorącą pieśczętę, która nabiera twardości, rozkoszy, uśmiechom dają smak pocałunków. Mówią na razie o rzeczach błahych i właśnie, kiedy generał szuka w myśli słów, którymi chce ostrożnie wtajemniczyć ukochaną w tragiczny spłot wypadków, ona przejęta tą samą troską, żeby go nie zaniepokoić gwałtownie, uprzedza go i opowiada o perypetiach z ostatnich dni... Gdy opisała wygląd „wzorowej służącej” Krestiakow błędnie i myśli z ciężkim gniewem: zbrodniarze... do czego oni się nie biorą... O tej Annie jeszcze nie mówił mi Gronow. — Po czym mówi spokojnie, ale jego niski, równy, nieco bezbarwny w tonie głos, jest zmieniony:

— Spokoju, dziecinko, nie przerażaj się tym, co powiem, posłali ci Annę „niezawodną” specjalistkę, trucicielkę ze stolicy... Może ją zaangażować każdy zbir. Usunęli z jej pomocą dużo ludzi, których nie mogli zamordować jawnie. Ż objawów, o jakich mówiłaś, widać, że zaczęli ostrożnie, znam te rzeczy, na razie dają tak małe dozy trucizny, że nie się nie stanę, gorzej jak zarażają nieuleczalną chorobą, to muszą forsować, bo nie zawsze działa...

— Ale czy mogą myśleć, że nie wiesz o tej trucicielce? — zastanowiła się Irina — Co prawda, mógłbyś nie wiedzieć, wojsko nie korzysta z jej usług. Poza tym są za sprytni, żeby ronić dowody na pożytek przeciwnikom, a głośne oskarżenie ośmieszyłoby cię! Prawda?

— Na szczęście wiem o tej Annie! Widziałem ją! Interesowałem się jednym procesem. Usunęli z jej pomocą świadka — przestępcę, który zeznaniami byłby naprowadził prokuratora na gniazdo gadów...

Dziecinko! Nie mógłbym cię stracić! — mówi generał głęboko i ciężko; spojrzenia ich spotykają się, gorąca dławiąca łzami słodycz spływa z jednych oczu w drugie, generał mruży powieki, Irina uśmiecha się: — Kola! Ach, Kolenka! — mówi szeptem.

— Aniele! — generał uśmiecha się także i mówi z uznaniem:

— Jesteś uniwersalna, doskonale dedukujesz

Ale teraz już trzeba się spieszyć, skoro zaczęli, zechcą prędko skończyć — ostra zmarszczka przecięła mu pionowo czoło.

— Nie jedź w domu, udawaj, że jesz, dezynfekuj pościel i unikaj przyborów toaletowych. Dziś porozumiem się z Gronowem, a jutro dowiesz się co masz robić!

— Ach, Kola! — rzekła Irina gwałtownie, w oczach jej pojawił się śmiertelny strach, który szarpnął nią z nienacka — A ciebie nie zechcą usunąć!

— Nie, aniele, tymczasem nie uszłoby im to bezkarnie, wiedzą, że mam górę „za sobą”. No, dziecinko, nie załamuj się w twoim świątynnym dedukowaniu... a ty wrócisz do domu, żeby zmylić ich węch...

Gdy Irina weszła do swego mieszkania, krowie oczy służącej wyraziły życzliwość, Irina starała się patrzeć na nią obojętnie, ale gdy oznajmiła, że nie będzie jadła kolacji, zdołała uchwycić szybkim spojrzeniem, sekundową zmianę w wyrazie oczu trucicielki, od którego serce jej ustało w ruchu na moment; było w nim odbicie jakiegoś obrazu, z głębi tej kobiety, przejmującego chłodem śmierci; patrzyła na Irinę umarłą. Następnego dnia, gdy Irina wylała kawę do wazonu z palmą, a bułkę włożyła do torebki, Anna zjawiała się nagle z nową filizanką i rzekła cicho:

— Zimno dziś! jeszcze jedna filizaneczka nie zaszkodzi — i stanę-

ła przy stole w pozie nieustępliwej, a oczy jej błysnęły złowrogo...

Irma zaczęła drzeć; przez mózg jej przepływały chaotycznie prze-rażające myśli: ta kawa to śmierć, albo zarazek nieuleczalnej choroby; to widać po zachowaniu Anny; Irma błyskawicznie szuka jakiegoś wyjścia z strasznej sytuacji; nagle wstaje, chwytła forebkę, leżącą na stole i przewraca nią filiżankę; kawa spływa na posadzkę. Irma oddycha głęboko i mówi zmęczonym i obcym głosem, który brzmi, mimo to groźnie:

— Dajcie mi już spokój, towarzyszyko, z tą kawą, bo się spóźnię do biura!

Ubiera się na pozór spokojnie, idzie do biura; zachowuje równowagę; nie alarmuje Krestiakowa. dzwoni do niego o zwykłej porze, w telefonie słysząc podejrzaną szmery; Irma myli węch kanałii, ogranicza się do kilku obojętnych słów, umawiają się jak zwykle w małej kawiarni na obiad. I dopiero podczas obiadu opowiada mu o wszystkim.

General bierze ją za rękę i mówi z zadowoleniem:

— Posłużyłaś się świetną taktyką, Maszeńka! A teraz musisz być jeszcze przytomniejsza; dziś wyjedziesz za granicę.

Irma patrzy na niego z trudnym do określenia wyrazem oczu i mówi bez histeryzowania, spokojnie i mocno:

— Nigdzie nie wyjadę, Kola. Wiesz o tym, że życie bez ciebie nie ma dla mnie wartości!

General pieści łagodnie jej rękę i milczy, nie jest zaskoczony, tylko zastanawia się nad odpowiedzią, musi pokonać ukochaną swoją wolą...

W tej chwili do kawiarni wchodzi Gronow. General wstaje, pułkownik ma twarz pozornie spokojną, ale general, który zna w niej

każdy szczegół, widzi że jest zmieniona.

Siadają obaj i general z zwiększonych zdań Gronowa dowiaduje się rewelacyjnych nowości. Gronow wie o „kawie“, wie i to, że była nieszkodliwa; udał im się tylko początek, potem robiło co było trzeba, w mieszkaniu Irmy ma aparat nadawczy. Ale nie chciał drażnić generała i nie wtajemniczał go w szczegóły, czuwał sam, a generała trzymał od mieszkania Irmy z daleka, w ostatnich czasach... teraz wyjaśnia się jeszcze niejedno. Ale i zbrodniarze wiedzą, że z Irną przegrali i uplanowali inny chwyt: unieszkodliwią generała oszczerstwem, donos jest mistrzowsko zredagowany i lada dzień odejdzie! Reakcją ze „szczytu“ podnieconego wybuchami ciągłych niepokojów w Republice, będzie jedna i nieodwołalna: ściana!

Krestiakowi zasycha w ustach i dolna warga zaczyna mu drzeć, nie ze strachu, ale z nieczłowieckiego oburzenia:

— Ach! Swolocz! — wypływa z niewysłowioną pogardą.

— Musisz generale uciekać! Wyjedziesz dziś z Irną! — mówi nakazująco Gronow. Krestiakow słucha z suniętymi uwagą brwiami — Gronow przedkłada: ...szkoda twojej pięknej duszy, Kola! Dokąd tego bagna nie osuszy się do dna, nie tu po tobie! Zginiesz! Ja jestem sam! Mnie wszystko jedno! Wystarczy, że może uratuję jeszcze niejednego człowieka, a potem... naplewać, może być i — ściana! A ty uciekaj, Kola! Kiedyś więcej się przydasz! Przygotowałem plan ucieczki w szczegółach! Niezwykle szczęśliwym trafem, na granicy wołoczyskiej, mam znajomego agenta, nie raz mu pomagałem, czy kanalie go przepukną, na razie nas nie obchodzi.

Oto plan: zostało rozgłoszone, że Krestiakow wyjeżdża dziś w rodzinne strony narzeczonej, wziąć ślub!

Zaagażowało się kucharkę, zamówiło uzupełnienie umeblovania i stroje dla pani i pana młodego! Kanałie wywnioskują, że „dobrze widziany u góry” Krfestiakow, przy spieszącym ślub, autorytelem swoim chce osłonić ukochaną! Nie wiedzą, że jesteśmy aż takimi mistrzami i wiemy już o uplanowanym donosie. Wiedzą natomiast, że Irma ma najbliższych krewnych w Proskurowie, a jeśliby coś „zwąchał” zanim zaatakują jawnie dowódcę - generała „dobrze widzianego”, muszą go schwytać na gorącym uczynku, w tym może im pomóc ten agent z Wołoczysk. Więc do samej granicy, masz wolną rękę, a dopiero na granicy, o ile Krupiatkin zawiedzie, czeka was gra na życie i śmierć! O tym, że posłaj za wami asa - szpiega wiesz, oczywiście! Pojedźcie do Proskurowa i zamówicie ślub! Szopki „ze ślubami w rodzinnym miejscu” ludzie robią! Krupiatkinowi napisałem, że przed ślubem pojedźcie do krewnych Irmy w wołoczyskich lasach na samej granicy. Tam nabuwasz w miarę narastania wypadków!..

Gronow podaje generałowi list do Krupiatkina, generał czyta w milczeniu, potem chowa list i mówi:

A w lesie, w pobliżu granicy, rewolwerem zmuszę ewentualnie agenta do ułatwienia przejścia za granicę!

— Pociąg do Znamieńki, — ciągnie Gronow — macie o dwudziestę z minutami...

Krestiakow nie odpowiada już. Oparł głowę na dłoń, ogolone jego wargi wykrzywił osobliwy grymas pogardy i zaciętości; rozważa chłodno; zjawia mu się w pamięci wyraz oczu dygnitarza montera i brzmią słowa: „oficjalnie ja nie wiem o waszej akcji” to zimne zaakcentowanie neutralności to też zapowiedź ściany, gdy „akcję” pokonają silniejsi... Generał stwier-

dza, że praca czysta jest tu bezna-
dziejna, przegrałby siebie, albo swe
ideale... W komunizmie, może twór-
ca jego widział ideał miłości Chry-
stusa do człowieka, z którego mia-
ła narodzić się wzniosła równość i
braterstwo ludów, ale ponieważ
nie rozumiał istoty człowieka, jak
rozumiał Chrystus, który pomnażał
chleb i karmił ducha słowem Bo-
żym, stworzył tylko z niego niebez-
pieczną utopię...

Generał jest bezwyznaniowy, stu-
diował jednak wiele i brutalnie nie
dołyka zjawisk niezwykłych; Chry-
stus istniał! — Więc tej idei utopi-
nej — myśli generał — używają w
mojej ojczyźnie za narzędzie łamania
ducha i ciała człowiekowi...

System?

„Niech będzie jaki chce, każdy
wyda parszywe, trujące owoce, jak
wezmą go w ręce ludzie parszywi...

Generał podnosi głowę i patrzy w
oczy przyjacielowi, znika zły gry-
mas z jego warg, drżą one lekko,
gdy mówi:

Dziękuję ci z serca, Misza!
„Jadę na ślub”! zwraca głowę ku
Irmie, uśmiecha się do niej i bierze
ją za rękę. Irma oddycha ciężko,
jak po ostatnim kroku wspinania
się na stromą górę... Z oczu jej plyną
łzy...

Z kawiarni poszli wszyscy do mie-
szkania generała. Irma nastawiła
radio i kazała podać herbatę, Kre-
stiakow zniszczył swoje prywatne
papiery, dokumenty dał Gronowowi.

Zapadł wczesny listopadowy wie-
czór, padał drobny deszcz. Należało
włożyć ciepłe rzeczy, generał ubrał
się po cywilnemu, wreszcie zaje-
chał samochód...

Pierwsza klasa luksusowego bly-
skawicznego pociągu była pustawa.
Krestiakow czuwał, Irma spała. Po
nocy bez przygód, pociąg wtoczył
się na brudny, omglony dworzec
miasteczka Proskurowa. Odrapana
taksówka zawiozła ich przez nędzne

uliczki przed domek, w którym mieszkał agent Krupiatkin. Przyjął ich człowiek niewielki, chuderlawy o mętnych oczach, giął się w ukłonach.

— Hotel? Owszem jest niezły! Rodzina Gorzkowskich; kupiec kolonialny i jego stryj ogrodnik... brat matki towarzyszką? Znam, co za zaszczyt! Ślubu dziś nie można dostać żadną miarą, można zamówić! Ale... no! to czysta fantazja, po to aż tu przyjeżdżać!

— Ze względu na rodzinę towarzyszką! — objaśnił pieszczotliwie generał — Ten leśniczy, o którym pisze pułkownik, nazywa się Kocewicz — generał zwięźle wyluszczył szczegóły. — Pojedźcie z nami, towarzyszu, dziś jeszcze, najlepiej w południe do Wołoczysk i pomożecie nam poszukać tę leśnicówkę!

Krupiatkin oświadczył, że nie zna Kocewicza, ale leśniczych i gajowych na linii wołoczyskiej po jednej i drugiej stronie granicy jest kilku, więc zasięgnie się języka — mówiąc to lyskał niespokojnie oczami.

Krestiakow rozważył, czy nie dałoby się przetrzymać agenta przy sobie, żeby nie zetknął się z przybyłym z nimi szpiegiem, ale uznał, że to niemożliwe, rzekł tylko: — Za fatygę, towarzyszu, nagrodzę sówicie.

Krestiakow został w hotelu, Irma poszła z agentem szukać swych krewnych; witano ją ze zdumieniem, a potem, na wiadomość, że przyjechała wziąć tu ślub z generałem — z wylaniem. Mówili po polsku, Irmie drżało serce z dziwaczego wzruszenia, ale była udręczona nieustanną myślą o zbliżającej się śmiertelnej przeprawie i z trudem grała rolę czulej krewniej i szczęśliwej narzeczonej. Krupiatkin czekał na nią przed domem, w którym składała wizytę, a potem prowadził ją do następnego, pełnił swą rolę cicerone z szarmanerią

szczególne „fasony“, który byłby ubawił Irnę, gdyby znajdowała się w innym nastroju.

Gdy wracali do hotelu Irma zauważyła, że agent zmienił zachowanie na jakąś skomplikowaną uniżoność z akcentami fałszu i lekceważenia, ukrywanego zło... Podzieliła się spostrzeżeniem z Krestiakowem.

O piętnastej mieli pociąg do Wołoczysk. Ze stacji ruszyli przez pola w las, do pierwszej, jakoby leśniczówki nad granicą. Na zimny listopadowy dzień sływał zmierzch, droga była rozmiękła, szło się po zgniłych pokładach liści, wśród drzew szumiących posępnie... reszta światła zatracala się w oddali. Krestiakow trzymał Irnę pod rękę i starał się iść obok agenta...

Ściemniło się zupełnie. Mężczyźni zapalili latarki. Szli podejrzanie długo i Krestiakow zauważył cierpko:

— Dlaczego nie powiedzieliście towarzyszu, że to tak daleko! Wzięli byśmy konie!

Krupiatkin dyskretnie puścił żądkło:

— Myślałem towarzyszu generałe, że czynię po waszej myśli!

Szli teraz na przelaj, przez las, wąskimi i wijącymi się ścieżkami, bily ich po twarzach gałęzie...

Las skończył się; ujrzeli nad sobą ciemną, bezgwiezdną kopułę nieba, pod nogami chlupnęła woda, Krestiakow skondensował czujność i poczał iść powoli, badając grunt przed każdym stąpieniem, nagle gwałtownie się cofnął, odepchnął Irnę za siebie, błyskawicznie wydobyl rewolwer, skierował go do stojącego za nim agenta i wyszeptał:

— Ostrożnie towarzyszu! — dotknął czoła agenta rewolwerem — mówić szepcem, bo w bagnie śpi licho, a nie trzeba, żeby ci, którzy idą za nami dowiedzieli się, żeśmy tacy nieostrożni! — cofnął się za

agenta, nie odejmując od niego rewolweru — Zgaśmy latarki i prowadźcie towarzyszu do linii granicznej, bo przypomniałem sobie, że ci krewni mieszkają za granicą!

Wrócili w las; Krestiakow rozważa gorączkowo; agent pod grozą rewolweru może też zaprowadzić w zasadzkę; ciemności jemu sprzyjają, a dla nich są wrogiem, ludzie agenta idą za nimi, strzał zwabiłby ich; pozostaje jedno: ukreślić po cichu głowę nieszczęśliwcowi, wtedy blakając się bez przewodnika, po nieznanym terenie, albo wpadną w ręce posterunków, albo los pehnie ich za linię graniczną, lasy obu tytatorów łączą się... Szybko zabezpieczył rewolwer i z siłą, spotęgowaną grozą chwili, uderzył agenta w tył głowy; człowiek głucho zwałił się na ziemię, Krestiakow pochylił się nad nim i uderzył go na oślep kilka razy w głowę ręką i pięścią rewolweru, poczyni ukłęknięt i przez chwilę słuchał uderzeń serca; ustało bić pod jego dłońmi...

W ciszy, w ciemności, wśród szumu drzew, ten przygłuszony ostrożnością szmer, pełen potwornej treści, był straszny, chwycił ją zwierzęcy strach, zacisnęła zęby, żeby nie zawyć histerycznie, z zaschniętym gardłem, z nogami omdlałymi trzymała się resztką sił w pozycji pionowej.

Krestiakow podniósł się, odetchnął ciężko i wyszeptał:

— Zapędził w bagno, chciał zakonserwować z nas rzeczowe dowody! Sprytny trick! — Wziął Irnę za rękę — Nie przejmuj się, Maszeńka, nie miałem innego wyjścia i prawo usprawiedliwia zadanie śmierci, w obronie własnego życia. A nie uczyniłem tego lekko! Teraz jesteśmy zdani na łaskę losu, a może — uśmiechnął się, czuła w ciemności ten uśmiech — Twojego Boga!

Wtedy Irma oprzytomniała i z tą straszną, tragiczną ufnością we-

zwała Boga swej matki po polsku: — Jezu, ratuj!

Szli, badając znowu teren, przed każdym stąpniciem, mimo, że byli w lesie, przebijali się długo w ciemności, pomiędzy drzewami, z rękami wyciągniętymi w powietrze, żeby chronić się przed uderzeniami gałęzi, czuli po specyficznej zaciszości, o tej porze roku, lekko stęchłej i cieplej, że są w głębi lasu. Krestiakow chwycił kierunek z natchnienia... Milczeli... W pewnej chwili Irnie siły odmówiły posłuszeństwa.

Krestiakow wyszukał suchszy nieco pokład liści i ułożył Irnę na kolanach; zerwała się w nich natychmiast burza szalonej, rozpaczliwej, jakby przedśmiertnej namiętności. Wreszcie zmęczeniu, ukojeniu i rozgrzani sobą, zamknęli się w ciasnym uścisku i — Irma zasnęła...

Krestiakow czuwał. Zimna, listopadowa noc wisiała ciężko nad ziemią. Nad drzewami przeciągał ostry wiatr i szumiał złowrogo. Krestiakow stracił rachunek czasu i zasnął, gdy się obudził był dzień... Irma ułożyła jego głowę na swoim ramieniu i teraz ona czuwała. Całował ją przez chwilę, poczyni zmieniając pozycji, zastanowili się co robić.

Byli głodni, ale wobec grozy sytuacji, reagowali na to łopornie. Wreszcie ruszyli w drogę i blakali się znowu długo wśród drzew... Nie spodziewanie las skończył się; ukazały się pola i droga, a w mgłach, w dali, kontury jakiegoś kompleksu budynków...

Krestiakow przystanął, ujął rękę Irmy i jej ręką i swoją, wskazał swym wyrazistym głosem, dal, poczym spojrzał przenikliwie na twarz swej przyjaciółki:

— Tam czeka nas śmierć, albo nowe życie, aniele! — powiedział swoim niskim, bezbarwnym nieco głosem — Czy jesteś gotowa umrzeć ze mną? Nie dam się wziąć żywej!

Musimy zdecydować się na powrót do ludzi. (Nie wypadła mi nawet dłużej czaić się! Pójdziemy tą drogą, jeśli, błędząc, przeszliśmy granicę, co właściwie dla nas, nieznających teren, jest w stu procentach nieprawdopodobne, wygraliśmy, jeśli jesteśmy na terytorium sowieckim — zginieemy!..

Odpowiedziała zwykłym głosem, lecz w oczach miała mgłę śmiertelnego oddania:

— Tak chcę, jak ty chcesz! Ale zastrzelisz mnie ty, Kolenka! Daj słowo!

Skinął głową w uroczystym milczeniu, a usmiech zatrzymał się tym razem dłużej na jego ustach.

Szli drogą. Krestiakow mówił:

— Pewnie ludzie Krupiatkina, nie doczekawszy się jego, ani sygnału, szukają nas! Posterunków granicznych poruszyć nie mogą, bo dokąd nie zdobyli przeciwko mnie dowodów zdrady, których mógł im dostarczyć tylko Krupiatkin, akcja ich jest zwykłą zbrodnią, z którą muszą się kryć! To jest nasz jedyny atut, którym, oczywiście, nie odgrywalibyśmy się długo!..

Zbliżają się do miasteczka; idą najpierw wąskimi uliczkami, wśród ogrodów... Co to? W bramach na dachach domów flagi białe - czerwone!

— O! to Polska! — mówi zmienionym, poruszoną radością, głosem Krestiakow. — Dziś jedenasty listopada, obchodzą uroczystość odzyskania niepodległości!

Irma myśli z straszną, niewysłowioną wdzięcznością:

— O Jezu! dzięki Ci!

Generał, jakby odgadł jej uczucia, odzywa się z głęboką powagą:

— Silny jest Ten twój Bóg, aniele!

— To prawdziwy cud, że uniknęliśmy zetknięcia z patrolami i tak szczęśliwie, dostaliśmy się aż tu! To dziwne! Chyba naprawdę silny i dobry jest ten Twój Bóg, aniele!

Wchodzą w szeroką ulicę. Miasteczko ma wygląd uroczysty; gra orkiestra, maszerują harcerze...

Rozlega się potężny głos dzwońców... Irnę ogarnia fala dławiącego łzami wzruszenia...

Z głębi jej duszy wytryska nagle cudowna świadomość, że to wszystko należy do niej: te dzwony, te flagi białe-czerwone..., że oto powraca z obcej dali w swoje strony... Jest szczęśliwa i to szczęście nie ma nic wspólnego z radością ujścia przed niebezpieczeństwem.

— Budzi się we mnie przynależność krwi — myśli Irma — ...psu-do-badacze o zlej woli głoszą nie-dorzeczne teorie o „pochodzeniu“ dzieci z mieszanym rodziców, to czeza gadanina, te teorie; zwycięża gatunek ducha i krwi, doskonałszy, wyższy, silniejszy! Irma patrzy na ukochanego, zmęczona, zmierzmona, postarzała twarz Krestiakowa, jest jej garcej, bezgranicznie droga...

Irma myśli z gniewem: ...a czy na miłości wolno kłaść łańcuchy kodeksów państwowych?... największym barbarzyństwem doby są te łańcuchy! Kola, Kolenka mój!

Krestiakow dopiero teraz sprawdza, czy pieniądze, zaszyte w podszewce płaszcza są w porządku...

Z Podwoleczysk granicznego, polskiego miasteczka otwiera się droga w świat...

Piękny jest ten dzień listopadowy.

Maria Zwaryczowska

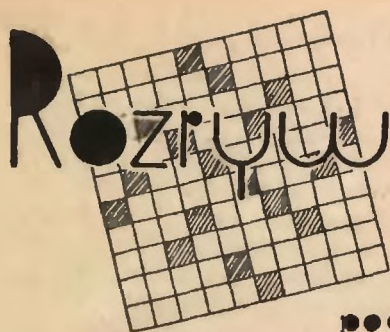
DOM FILATELISTYCZNO-WYDAWNICZY

ARKADIUSZ PACHOŃSKI
Warszawa, ul. Jasna 16, tel. 657-68

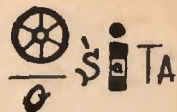
Poleca: znaczki całego świata w serlach i pojedyncze sztuki, różne odmiany znaczków Polski, katalogi do znaczków całego świata, przybory filatelistyczne.

Wydaje: albumy do znaczków Polski i całego świata — Opuściły prasę drukarska następujące albumy do znaczków pocztowych, bogato ilustrowano, każdy kraj nabywać można osobno:

Norwegia zł. 1.25, Belgia zł. 3.—, Czechosłowacja zł. 2.—, Francja zł. 2.—, Finlandia zł. 1.20, Niemcy zł. 3.—, Rosja zł. 4.—, Włochy zł. 4.—. Album do znaczków całego świata Nr. 9 cena zł. 6 — i zł. 8.50 album Nr. 14 zł. 19.— i zł. 26 —, album Nr. 15 zł. 30.— i zł. 37.—, cennik bezpłatnie



Rozrywki umysłowe



pod redakcją Zygmunta Boniowskiego

OD REDAKCJI DZIAŁU.

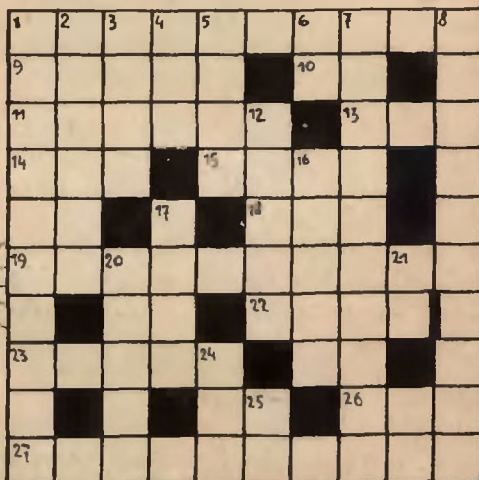
Rozwiązania nadsyłać należy w terminie do 30 lutego b. r. z dopiskiem „Rozrywki Umysłowe”.

Za bezbłędne rozwiązanie zadań redakcja przeznacza nagrody książkowe. Do rozwiązań należy wyciąć i dołączyć kupon.

1. KRZYŻÓWKA

POZIOMO:

1. Znanе przysłowie (4 słowa, ciąg dalszy Nr. 8. pionowo). — 9. Koła zębate w maszynie. — 10. Przyimek. — 11. Imię Hiszpanki. — 13. Uderz, bij! — 14. „Satyra” bez głowy i nóg. — 15. Samochód. — 18. Toczenie się, bieg, obrót. — 19. Załzymane tamą. — 22. Częściowa wypłata należności. — 23. Mały dym. 26. Cios, cięcie. — 27. Wyłożony słowami.



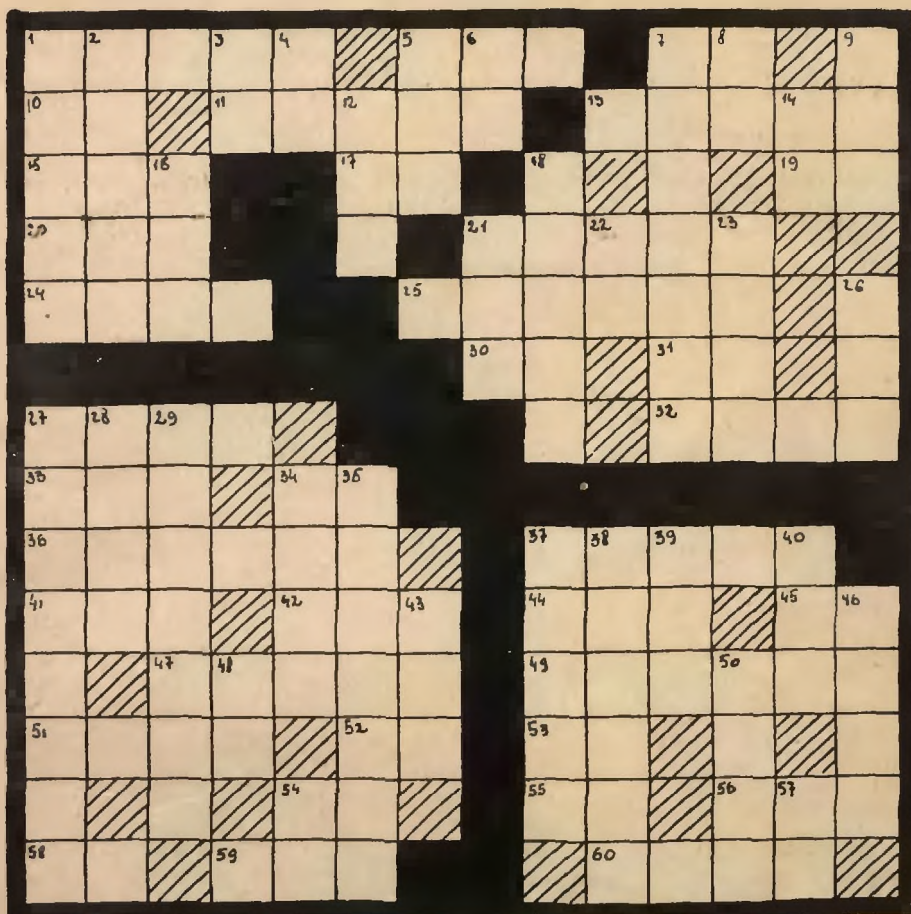
PIONOWO:

1. Rzecz, która straszy. — 2. Drzewo zbite razem, w celu spławienia go rzeką. — 3. Wierszy. — 4. Port w Finlandii. — 5. Metal, używany na odlewy i stopy. — 6. „Moją” pierwszą połowa. — 7. Instytucja adwokacka. — 12. Pisarz, literat. — 16. Wyrób, przeznaczony do sprzedaży. — 17. Tyczki. — 20. Nie to. — 21. Przyimek. — 24. Usuwa ból. — 25. Egipski bóg słońca.

2. NIBY-SZARADA

Szósta - pierwsza --- jezioro w Abisynii.
 druga - pierwsza --- zaimek rodz. żeński
 druga - trzecia --- narząd wzroku.
 piąta - pół szóstej - czwarta --- jasność.
 całość --- macie przed sobą.

3. KRZYŻÓWKA.



POZIOMO:

1. Rozrywki, które przyczyniają się do wyrobienia zręczności i siły. — 5. przyimek. — 10. Miara powierzchni. — 13. Narzędzia stalowe do ślizgania się po lodzie. — 11. Imię męskie. — 15. Na nim jeździ się na łyżwach. — 17. Czołowy łyżwiarz. — 19. Patrz. Nr. poprzedni. — 20. Obydwaj. — 21. Opad atmosferyczny w zimie. — 24. Powieść Zola. — 25. Rasa kotów i królików. — 27. Najmroźniejsza i „najbielsza” pora roku. — 32. — Brat Kaina. — 33. Rodzaj papugi. — 34. Mieszkanie pszczół. — 36. Kraj Ameryki Północnej mający najlepszych amatorów sportów zimowych. — 37. Bat. — 41. Zaimek rodzaj. żeńskiego. — 42. Połowa „Apolła”. — 44. Zaimek rodzaj. nij. — 45. Miara oporu elektr. — 47. Rodzaj gry w karty. — 49. Miasto w Abisynii. — 51. Korab Nocy. — 52. Jezioro w Sudanie. — 55. Okres czasu. — 6. Na jego zamrażniętej powierzchni można się łyżwować. —

PIONOWO:

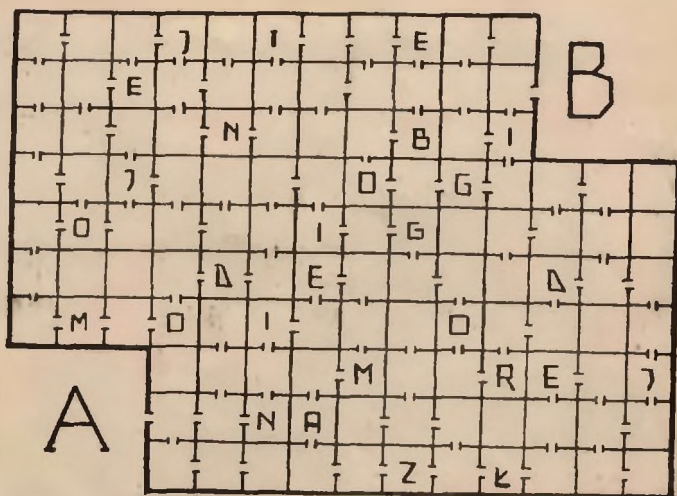
1. Pokój przeznaczony do przyjęć gości. — 2. Doświadczenie. — 4. Zaimek. — 5. Rzemień z klamrą. — 6. Zaimek. — 7. Kraj zimna. — 9. Kreska, znak. — 12. Kwiat. — 16. Jego chór śpiewa cudownie. — 18. Choroba gardła (w ostatnim kwadraciku są dwie litery). — 21. Marzy. — 23. Wypukłość wykrzywionej kości pacierzowej. — 26. Zabawa taneczna. — 27. Stolica sportów zimowych w Polsce. — 28. Płaskowyż w Azji. — 29. Rzeczy (ironicznie). — 34. Wylanie się krwi do tkanki mózgowej albo płucnej. — 35. Kraj podbiegunowy. — 37. Bohater z „Ogniem i Mieczem”. — 38. Owoc południowy o delikatnym smaku i zapachu. — 39. Droga wydeptana. — 40. Kolonia portugalska w Azji. — 43. Najdoskonalniejszy organ człowieka. — 46. Wielkie zimno, panujące w zime. — 48. Rzeka we Francji. — 50. Istota żyjąca w wodzie. — 54. Miara powierzchni. —



K u p o n N r. 177
„Rozrywki umy-
słowych”
N. 54

4. LABIRYNT

Odszukajcie drogę od A do B, odczytując po drodze zdanie często używane przez młodych ludzi.



ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z Nr. 175

1. KRZYŻÓWKA.

1. Pa. — Ad. — 3. Automobil. — 11. Brama. — 13. R. — 14. Limuzyna. — 15. Roma. — 16. O. — 17. Same. — 19. Samochód. — 21. Rola. — 23. O to. — 24. Laik. — 25. Adamaszek. — 26. Ka. — 27. An.

2. BOBIS i CZEKOLADKI.

7 dni.

3. ARYTMOGRAF.

Od chwili kiedy zaczynasz żyć i działać świadomie staraj się przede wszystkim być pożytecznym, później staraj się o własną doskonałość, a dopiero w końcu o własne szczęście.

Bolesław Prus

4. KRZYŻÓWKA.

1. Barkarola. — 7. Ar. — 8. Ska. — S — 9. Gitara. — 11. Parę. — B — 12. Tu. — 14. Plaża. — 15. Mur. — 16. My. — 17. Lato. — 18. Ke. — 20. Czaj. — D. — 22. Ona. — Al. — 24. Ka. — 25. Serenada. —

NAGRODY

Za bezbłędne rozwiązanie zadań z Nru. 175 nagrody otrzymują następujące osoby:

1. Zdzisława Chronowska — Zielonka, ul. Kilińskiego 47 m. 2.

2. Bazyli Zoryn — wieś Brzózka, pt. Łochów, pow. Węgrów.

3. Zofia Grabowska — Wyszogród n/Wiśłą.

Nagrody rozesłane zostaną pocztą.

ODPOWIEDZI RED. DZIAŁU

1. W Pani „Zoga”.

Serdecznie dziękujemy za miły list. Słemy pozdrowienia.

2. W Pan Z. Wiatr. Projekt dobry. Dziękujemy.

Zawiadamiamy Czytelników, że prócz zwyczajnych nagród, rozdzielać będziemy nagrody wytrzymałości pośród Czytelników, którzy nadesłali największą ilość rozwiązań z trzech kolejnych numerów (kwartalnic). Konkurs ten zaczyna się z niniejszym numerem.




60, - 004549 II

312588/82

DZIĘKI
TRWAŁOŚCI
I SUBTELNOŚCI
ZAPACHÓW

PRZODUJE W POLSCE
OD CZTERECH POKOLEŃ

 **WODA
KOŁOŃSKA
PULSA**



SUMIENNY
SPRZEDAWCA
POLECA
WYROBY

ŁÓDŹ